Nr. 29. Warszawa, dnia 18 (6) Lipca 1891 r. Rok XI.

# PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.





Od dnia 1 lipca Administracya **Prawdy** mieści się w prawej oficynie, na drugiem piętrze tego samego domu.

## POLITYKA.

### TAŃSZE BILETY KOLEJOWE.

Sprawa taryf kolejowych jest dziś kwestyą pierwszorzędną dla życia ekonomicznego i społecznego. To też zajęła ona uwagę społeczeństw w wysokim stopniu. Koszt przewozu stanowi część kosztów produkcyi i wpływa na ceny jej towarów; coraz bardziej, przy wytężonem współzawodnictwie w kierunku taniości, na część tę wytwórcy usiłują wywrzeć równoległy nacisk i zniżyć ją do możliwych granic. Dokąd w swych staraniach o to zaszły narody europejskie — przedstawiać tu nie będziemy; w jakim stanie my się znajdujemy pod względem transportów towarowych — również rozjaśniać nie możemy, gdyż jest to zadanie, przekraczające nasz obecny zamiar, a nawet i siły. Przedmiot ten z niezmierną dla wiedzy naszej szkodą nie został należycie zbadany pod najświeższą datą, chociaż tu i owdzie (jak np. ostatnio w *Ateneum*) rzucono nań kilka jasnych promieni. W tej chwili wszakże zajmuje nas tylko taryfa przewozu osobowego. Przykład, a nadewszystko pomyślne doświadczenie Węgier z biletami strefowymi bądź wywołało, bądź przygotowywa przełom w gospodarce kolejowej całego niemal lądu europejskiego. Okazało się bowiem dowodnie, że znaczne zniżenie ceny biletów pasażerskich nietylko nie naraża dróg żelaznych na straty, ale przeciwnie powiększa ich korzyści. To też państwa europejskie albo już wprowadziły tanią taryfę, albo ją przygotowują. Dla nas łączy się z nią daleko większy niż gdzieindziej interes społeczny. Naprzód ceny przejazdu osobowego są drogie, a powiększa je nadto przedawniony już dziś i wszędzie zarzucony system pobierania opłat według stacyj, bez uwzględniania przystanków. Powtóre kraj nasz znajduje się jeszcze w ekonomicznem niemowlęctwie i niewątpliwie w pasach przyległych drogom żelaznym po redukcyi kosztów przejazdu ożywiłby się znacznie. Jak wielkie są te koszty, świadczy nieustający, owszem wzrastający ruch furmanek, które dla przewozu ludzi i rzeczy przedstawiają dogodniejsze warunki i zwycięzko współzawodniczą z kolejami.

Potrzeba dokonania reformy na tem polu odezwała się już widocznie w sferach rządowych, skoro uznał ją *Warsz. Dziennik*. W paru artykułach rozebrał on szczegółowo straty i zyski z obniżenia taryfy osobowej, zamknąwszy swój wywód wnioskiem, że ostatnie o wiele przewyższą pierwsze. „Kwestya zmniejszenia opłat za przejazd na większych odległościach — powiada on — rozstrzyga się najzupełniej twierdząco nawet w tym wypadku, jeżeli przypuścimy nadzwyczaj mały przyrost ruchu pasażerskiego, chociaż przytoczone wyżej względy dają podstawę nadziei, że ruch ten powiększy się znacznie. Skoro zmniejszenie to nie może być szkodliwe dla kolei nietylko przy zachowaniu, ale także przy pewnem osłabieniu tych warunków, które dotyczą kompletu pasażerów, to również i stopień zniżenia cen nie powinien im przyczynić strat, jeżeli ono dla większych odległości będzie proporcyonalne do stosowanego dotychczas. Obecnie koleje dopuszczają redukcyę opłat w zakresie 30—40%. Redukcyę tę z wszelką słusznością uznać należy nie za możliwą wogóle, ale za najmniejszą ze strony dróg żelaznych, niewątpliwie usiłujących zapewnić sobie największe korzyści nawet w tym wypadku, kiedy siłą konieczności zmuszone są zastosować się do potrzeb życia praktycznego, jak to bywa przy wprowadzaniu przez nie biletów tańszych. To też za *najmniejszą* obniżkę obecnej taryfy uważać wypada taki procent, jaki teraz jest wyznaczany dla małych odległości — 30—40. Trudno wszakże przypuścić — kończy *Dziennik* — ażeby nasze koleje okazały dosyć inicyatywy i wytrwania w tak poważnej sprawie, jak zmniejszenie kosztów przejazdu, zwłaszcza że wynikające stąd korzyści są widoczne tylko w odniesieniu do wszystkich łącznie, a nie każdej pojedynczo."

I my również wątpimy, ażeby one zdobyły się na reformę tak doniosłą. Naprzód bowiem zarządy naszych dróg spoczywają przeważnie w rękach ludzi zależnych, nieobdarzonych odpowiedniemi zdolnościami, dbałych przedewszystkiem o swoje pensye i gratyfikacye, a wreszcie synekurzystów, obsiadających jednocześnie wiele posad. Prasa, zaopatrzona szczodrze biletami wolnej jazdy, żadnego nacisku w tym kierunku nie sprawia; wszystko więc pozostanie, jak było, dopóki za zbyt nie pochyli się do starości.

A jednakże ta potrzeba jak nieugięty rozkaz nie ustąpi z życia naszego i ciągle przypominać będzie, że ceny biletów osobowych na kolejach zniżyć należy, bo ludność dotychczasowych dźwigać nie może, bo one wstrzymują ożywienie się przemysłowe kraju i paraliżują jego ruch komunikacyjny, bo stosunki transportowe stężały w anachronizmie, który nie odpowiada przerastającym je wymaganiom. Jadąc drogą żelazną — wyjąwszy okolice podmiejskie i dnie zwiększonego niezwykłą jakąś przyczyną

napływu pasażerów — widzimy wagony puste, pociągi krótkie, a przy torze zupełny brak śladów tego rojenia się ludzi, który nas uderza wszędzie za granicą. Jedzie ten, co musi, kogo wygnała nieodparta konieczność. Po za odpustami częstochowskimi nie spotykamy ani gromad spieszących na wycieczki, ani jednostek żywo uwijających się i chwytających w lot chwile pomyślne. Tu wzdychający szlachcic udaje się po pożyczkę, tam mieszczanin, który zamierza przeprowadzić śledztwo co do przyszłego męża swej córki w odległej okolicy, tam żyd, który odstawia zboże, tam student, wracający do uniwersytetu — oto zwykły obraz załogi naszych wagonów. O przelocie stad ludzkich, o tłumnych wycieczkach, o przerzucaniu się mas z miejsca na miejsce — nie ma mowy. Bilety za drogie.

## LISTY SPOŁECZNO-POLITYCZNE O FRANCYI.

### XIII.

Projekt Constansa. — Lud paryski. — Kasa ubezpieczeń i kasa zapomóg. — Prasa monarchiczna.

*Quis tulerit Gracchos de seditione querentes?* Gdy Paweł Deroulede dowodzi w Izbie, iż minister Constans swym projektem ubezpieczenia robotników na starość ma na widoku jedynie własną popularność, wystawiając projekt, który na pewno przyjęty nie zostanie, to o prawdzie tych słów nikt nie wątpi — ale od jakiego to czasu ślepy ma prawo szydzić z niewidomego? „Obaj lepsi“ grają komedyę, a senatorowie zataczając się na kulach, wyszczerzają bezzębne dziąsła ze śmiechu: gdyby projekt Constansa nawet przeszedł w Izbie, gdzie już rozdany został, to senat zgotuje mu śmierć szybką i niechybną. Bądź co bądź zasługuje na pilną uwagę.

Ubezpieczenie ma być naprzód nie przymusowe, jak w Niemczech, lecz dobrowolne. Okoliczność ta pozbawia go większego znaczenia. Jeżeli biedak po 30 latach dopiero ma zbierać owoce swej oszczędności, to nawet 30, a chociażby i 15 fr. niechętnie odkładać będzie, zwłaszcza że w budżecie potrzeb koniecznych sumka ta mogłaby uczynić niejednemu znaczny wyłom. Następnie prawo ma być pełnomocne dopiero po ćwierci z górą wieku, a lud paryski zbyt głęboko wierzy w szybszą i radykalniejszą zmianę swego losu, aby chętnie się garnął do reformy, opartej na cierpliwości wołu i posłuszeństwie owcy. Przytem ubezpieczać się mogą tylko robotnicy dwudziestopięcioletni, pobierać pensyę tylko pięćdziesięciopięcioletni. Na Górnym Szląsku, jeżeli sądzić z danych, przytaczanych przez klerykalno-katolicką *Pracę*, w cynkowniach żaden robotnik nie dosięga do tego wieku — nawiasem mówiąc, można tam znaleźć obrazy nędzy i cierpień, wobec których fantazya Dantejska blaknie — a jednak płacą swe raty ubezpieczające. Inna rzecz we Francyi, zwłaszcza zaś w Paryżu: tu robotnik jest świadomy, politycznie rozwinięty i przekonany o konieczności gruntownej zmiany społecznej. „Lud paryski“ składa się w znacznej części z jednostek inteligentnych, grzecznych, dowcipnych, szydzących z wszelkich zabobonów i obrządków ludzi, wierzących tylko w użycie doczesne i którym bogate tradycye wskazały najkrótsze drogi do szczęścia. Ludu tego w żaden sposób „Stimmvieh'em“ nazwać nie można, a jeżeli jeszcze nie przedstawia organizacyi koszarowej niemieckich socyalno-demokratów, to niewątpliwie jest dalszy od hasła: „Die Sonne der Freiheit beleuchtet den jungen Kaiser...“ Polityczny rozwój robotników paryskich najlepiej wystąpił podczas awantury bulanżystowskiej. Gdy w styczniu 1889 r. „piękny generał“ zebrał 250 tysięcy głosów w Paryżu, wołano powszechnie: „Tłum rzuca się pod nogi Cezara!“ Bynajmniej! Tłum, złożony z jednostek świadomych, protestował tylko przeciw oportunizmowi trzeciej Rzeczpospolitej, przeciw wszystkim zawiedzionym nadziejom i wszystkim niedotrzymanym obietnicom. Gdy się wszakże pokazało, że Boulanger snuje pod pozorem sprawy publicznej intrygę osobistą, lud paryski cofnął mu swe zaufanie i to go zgubiło. W Paryżu reforma Constansa stanowczo powodzenia mieć nie będzie: Paryż natchniony jest innemi zupełnie dążeniami, zbyt on jest niespokojny, niezadowolony i zdenerwowany, aby mógł czekać 30 lat, aż zobaczy swe nędzne groszaki w postaci ubogiej pensyi. Gdyby przynajmniej projekt Constansa, na wzór niemieckiego, zawierał i ubezpieczenie na wypadek kalectwa, dzięki czemu robotnik przy pewnych warunkach mógłby daleko wcześniej otrzymywać, w razie skaleczenia, pensyę. Ale nie! Tej kwestyi wcale nie poruszono. Najsłabszą wszakże stroną projektu jest jego podstawa finansowa. Państwo wydawać będzie rocznie koło stu milionów franków, co stanowi nieznaczną tylko sumę w porównaniu z budżetem wojskowym, a jednak zbyt wielką, aby burżuazya z Izby i senatu na nią się zgodziła — można nawet twierdzić, iż na pewno się nie zgodzi. Wprawdzie minister spraw wewnętrznych przedstawia nowe źródła dochodu na czas, gdy prawo wejdzie w wykonanie, a mianowicie z kolei żelaznych, które wtedy mają przejść do rąk państwa. Dochody te mogłyby być użyte na cel powyższy. Z drugiej strony Constans wymaga, aby fabrykanci za każdego cudzoziemca robotnika — a ten ubezpieczać się nie ma prawa — płacili po 10 centimów dziennie. Z zebranych w ten sposób sum ma być ustanowiona oddzielna kasa dla tych robotników francuzów, którzy, opłacając przez pewien czas swe raty, potom zaprzestali, czy to dzięki nędzy, czy też — kalectwu. Ta kasa zapomóg ma być zasilana jeszcze przez darowizny i zapisy, co najlepiej pokazuje, na jak niepewnym gruncie spoczywa cały projekt ministra francuskiego. Robotnik, opłacający w ciągu 30 lat po 5 lub 10 cent. dziennie, otrzymuje pensyę 300 do 600 fr. Na sumę tę składać się będzie udział państwa stomilionowy i udział patrona wynoszący tyleż, co i robotnika.

Prasa monarchiczna przechodzi we Francyi gwałtowny przełom. W ciągu roku bieżącego zginęło 36 jej pism, gdy organy republikańskie wzrosły w liczbie do 90. *Figaro* wywodzi z tego powodu długie jeremiady i zanosi gorzkie żale do przedmieścia St. Germain. Ah, gdy trzeba tworzyć komitety, paplać lub bankietować, szlachetny „faubourg“ nigdy się nie opóźnia. Rokosz widelców każdej chwili gotów jest wybuchnąć na hasło trąby wojowniczej hr. d'Haussonville'a. Ale gdy się ktoś odwoła do kiesy monarchistów, głos jego przechodzi bez echa. I gdyby przynajmniej byli oni ubodzy, można byłoby im jeszcze wybaczyć obojętność dla „sprawy.“ Ale, bynajmniej. Posiadają, według obliczeń *Figara*, 70 miliardów! Gdzie się wylewa ten Paktol? Idzie on bardziej na utuczenie łydek, niż na roz-

---

4)

KNUT HAMSUN.

## GŁÓD.

Jednocześnie w uchu uczułem ból, zadany uderzeniem bata i kapelusz zleciał mi z głowy; junaki nie mogły mnie przepuścić, nie wypłatawszy mi poprzednio figla. Trochę ogłuszony, schwyciłem się za głowę, podniosłem kapelusz z nad rowu i w dalszą puściłem się drogę. Na dole w Haushaugen dowiedziałem się od jakiegoś przechodnia, że czwarta już minęła.

Po czwartej! Boże, już po czwartej... Przyspieszyłem kroku, biegnąc prawie w dół miasta; skręciłem i pospieszyłem do redakcyi. Może już redaktora nie było, po godzinach biurowych mógł przecież wyjść. Szedłem i biegłem naprzemian, potykałem się, wpadałem pod koła, wymijałem wszystkich przechodniów, ścigałem się z końmi jak szalony, aby tylko przybyć jeszcze w czas. Wpadam do bramy, czterema skokami przesadzam schody i pukam...

Cicho.

— Niema go, niema — myślę sobie. Chwytam za klamkę, drzwi otwarte; jeszcze raz pukam i wchodzę.

Redaktor siedzi przy stole, z twarzą ku oknu zwróconą, z piórem w ręku: zabiera się oczywiście do pisania. Usłyszawszy zadyszane słowa przywitania, napół się odwraca, patrzy na mnie, głową kręci.

— Jeszcze nie przejrzałem pańskiego szkicu, nie miałem czasu — powiada.

Tak się cieszę faktem, że ostatecznie nie odrzuca mojej pracy, iż powiadam:

— Tak, łaskawy panie — to naturalne!.. Nic spiesznego!.. Za parę dni może, albo...

— Zobaczę. Zresztą mam przecież pański adres!..

Zapominam objaśnić go, że już nie mam adresu.

Posłuchanie skończone, składam ukłon, cofam się i idę. I znowu budzi się we mnie nadzieja; jeszcze nic nie stracone, przeciwnie, szanse są jaknajlepsze. I zaczyna mi się roić coś o jakiejś wielkiej radzie w niebie, na której postanowiono, że *ja* zarobię, dziesięć koron za fejleton zarobię.

Gdyby jeszcze znaleźć jakiś przytułek na noc! Zastanawiam się, gdzieby się najłatwiej było schronić: pytanie to tak mnie pochłania, że zatrzymuję się na samym środku ulicy, stając jak samotny słup-ostrzegacz na morzu, gdy wkoło niego piętrzą się i falują huczące bałwany. Roznosiciel gazet podaje mi „Wiking.“ A to śmieszny dzieciak dopiero! Spoglądam w górę — truchleję: znajduję się znowu przed magazynem Semba.

Prędko zawracam, pakiet o ile możności ukrywam i spieszę zmieszany ulicą Kościelną w dół: boję się, ażeby mnie ktoś przez sklepowe szyby nie zobaczył. Mijam Ingebnet i teatr, skręcam koło loży i pod murami twierdzy schodzę do jeziora. Szukam sobie ławki i znowu zaczynam rozmyślać.

Gdzież u Boga schronię się na noc! Czyż nigdzie niema dziury, w której do jutra mógłbym się ukryć? Duma nie pozwala mi wrócić do dawnego mieszkania; czyż wypada cofnąć słowo? W oburzeniu myśl tę usuwam i z poczuciem pewnej wyższości śmieję się w duchu z małej czerwonej kołysanki. Wskutek dziwnej idyosynkrazyi widzę się nagle w pokoju, o dwóch oknach, który przed laty w Haegdehaugen zamieszkiwałem: na stole stoi talerz z wielkiemi porcyami chleba z masłem, które następnie zmieniają wygląd, przyjmując kolejno postać czarujących beafsteaków, śnieżnej serwetki, bochenka chleba i sztućca srebrnego. Drzwi się otwierają — wstępuje gospodyni, pytając, czy pozwolę jeszcze herbaty.

Ot, wizye i sny głupie!.. Wiedziałem, że jeżeli cośkolwiek spożyję, znowu w głowie mi się zamroczy, mózg znowu zapłonie gorączką, znowu na walkę z szalonemi fantazyami się narażę. Nie znosiłem jedzenia, taką już miałem naturę — dziwną, cudacką naturę!..

Może jednak znajdzie się rada na noc! To przecież nic pilnego: w najgorszym razie ukryć się mogę w lesie, w okolicy, wreszcie w Kaltgrade!

wój mózgów. Jeżeli bogata jakaś dama ma kilka milionów na stracenie, jak to było z ks. d'Uzes, to czyni z nich ten sam użytek, co i bogate matrony w starożytnym Rzymie, z tą różnicą, iż te wydawały pieniądze na „młodych atletów,“ francuskie księżniczki — na siwowłosych lub pofarbowanych.

Współcześni konserwatyści są we Francyi konserwatystami głównie pod względem swych trzosów. I nic dziwnego: ich król i papież, znani ze swego skąpstwa, dają im pod tym względem świetny przykład. *Il ne faut pas être plus royaliste que le roi, ni plus catholique, que le pape.* Główna jednak przyczyna kryje się w samej sprawie, która oczywiście chyli się do upadku. Finansiści monarchiczni zbyt zwątpili o zwycięztwie jej, aby pozwolili żyłować się po dawnemu: jest to beczka Danaid, która wszystko zabiera i nic nie zwraca. Po co podtrzymywać sprawę, która z siłą konieczności upada? Oznaki mnożą się z dniem każdym: oto biskup Grenoble'u, p. Fava, przystąpił urzędownie do Rzeczpospolitej. I przy tem wszystkiem monarchiści twierdzą, iż „trzymają kraj w ręku.“ Złapał kozak tatarzyna, a tatarzyn za łeb trzyma.

*L. W.*

---

## Z AUSTRYI.

Kłopoty Koła polskiego z młodymi posłami. — Przemowa hr. Pinińskiego. — Zaniechanie wyboru posła Popowskiego do delegacyj. — Upozorowanie tego faktu a właściwe jego powody. — Koalicya ambitnych członków Koła.—„Posłowie schodzący się u Tyszkowskiego.“ — Walki antisemitów w parlamencie.

Ostatnie posiedzenia parlamentu austryackiego urozmaicone były zajściami gwałtownej natury. Już sam tok obrad spowodował ruch niezwykły w klubach parlamentarnych i szereg sprostowań w prasie. Ruch ten wywołały po części mowy posłów galicyjskich. Donosiliśmy czytelnikom *Prawdy* w poprzednim liście o skutkach wystąpienia Jaworskiego; lecz młody poseł hr. Piniński dał powód do licznych nieporozumień. Nie zaznaczywszy wyraźnie, czy zabiera głos w imieniu Koła polskiego, czy we własnem, wygłosił dłuższą przemowę nader elastycznego charakteru, w której nie wypowiedział nic innego, aniżeli Jaworski i Madeyski, tj. że posłowie galicyjscy nie będą popierali ustawy o szkole wyznaniowej, żądając natomiast uregulowania szkolnictwa przez władze autonomiczne w porozumieniu z władzą kościelną. Podczas gdy jednak Madeyski oświadczył z naciskiem, że jego towarzysze są stronnictwem państwowem, Piniński tłomaczy stanowisko ich w sprawie szkoły wyznaniowej względami narodowo - autonomicznymi. Wspomniał o słusznych wymaganiach Kościoła, użył zatem zwrotów cechujących dawniejszych autonomistów-klerykałów. Rzecz jasna, że twierdzenia jego obudzić musiały niezadowolenie zarówno w łonie Koła polskiego, jak w obecnych liberalnych jego „sprzymierzeńcach.“ Głoszono więc przez parę dni ze wszech stron, że Piniński mówił tylko za siebie, aż wreszcie Koło na jednem z posiedzeń uchwaliło zsolidaryzować się z wystąpieniem Pinińskiego, korzystając z wspomnianej już elastyczności zwrotów młodego, lecz ostrożnego posła. W rzeczy samej nie zamierzał on bynajmniej stanąć w sprzeczności z punktami widzenia, przyjętymi przez Koło; chciał tylko zaznaczyć fakt istnienia małej grupy posłów, zaprzyjaźnionych z nim, którzy obecnie, pod rządami Jaworskiego, skazani są na odgrywanie ról podrzędnych. Niezadowolenie z własnej pozycyi, wogóle pobudki osobiste zaczynają w Kole polskiem od niedawna objawiać się w sposób dawniej nieznany a szkodliwy dla kraju. Wiadomo w sferach parlamentarnych, że i zaniechanie wyboru posła Popowskiego do delegacyi tłomaczyć należy względami osobistymi. Głównym przedmiotem obrad delegacyj są sprawy wojskowe i budżet armii. Wszystkie grupy parlamentu starają się więc wysłać tam posłów, obeznanych z temi sprawami, zdolnych do krytycznego ocenienia wymagań stawianych przez ministra wojny. Popowski, który wchodzi dziś jeszcze w skład armii austryackiej, był właśnie dotychczas siłą fachową; działalność jego w delegacyach była pożyteczna, zwłaszcza w sprawie dostaw do armii, tylokrotnie i tak grubo nadużywanych. Skoro nadto zważymy, że jest zwyczajem w parlamencie wybierać do delegacyi tych samych posłów, którzy poprzednio w niej zasiadali, to pominięcie Popowskiego jest faktem, niedającym się objaśnić powodami przedmiotowymi. Zastąpiono go Bennoem, który pono na żadnem polu nie jest fachowcem. Na zewnątrz upozorowano to w sposób dość niezręczny. W dyskusyi nad budżetem ministeryum obrony krajowej Popowski wybrany został mówcą generalnym. Polemizował on z czechem Vaszatym, który niedwuznacznie wyjawił był swe panslawistyczne tendencye; zaznaczył, że i polacy są słowianami, lecz że ta okoliczność nie rozstrzyga o ich polityce; powtórzył przy tej sposobności słowa wypowiedziane raz przez Gregra: slawizm nie wart dla nas funta kłaków! (Ist uns keine Pfeife Tabak werth).

Podczas gdy w parlamencie posłowie galicyjscy oklaskiwali Popowskiego, na posiedzeniu koła wystąpiono z krytyką słów jego i żądano, aby oznajmił, iż miał na myśli nie slawizm, lecz panslawizm. Popowski nie poddał się żądaniu temu, uważano więc za stosowne, ze względów partyjno-taktycznych, pominąć go przy wyborach do delegacyj. Takiem przedstawieniem rzeczy zatkano usta pismom niemieckim. Dodajemy jednak, że po za tą komedyą kryły się machinacye czysto osobistej natury, płynące z tegoż samego ośrodka, z którym wiąże się przemówienie Pinińskiego. Powstała w łonie Koła polskiego koalicya dla zdobycia wybitnych stanowisk, zajmowanych dotychczas przez starszych członków Koła. Młodsi, ambitni posłowie nie zadawalają się tem, że im przemawiać wolno; pragnęliby zasiadać w komisyach. Obawiając się jednak zarzutu separatyzmu i łamania solidarności, unikają uformowania się w klub jawny. Byłoby to tem trudniej, że w owem gronie zeszli się autonomiści liberalni z klerykałami na wspólnym gruncie ambicyi osobistych. Zaczepieni przez prasę, wystąpili publicznie jako „posłowie schodzący się u posła Tyszkowskiego.“ Osiągnęli istotnie cel swój, wpłynęli bowiem na wybory do komisyj w duchu swych życzeń. Czas więc, aby się rozeszli. W samym fakcie wysunięcia posłów młodszych na pozycye, w których dowieść mogą zdolności i gorliwości, nic szkodliwego upatrywać nie można; lecz skoro raz w łonie Koła polskiego rozpoczęła się walka pod hasłami osobistemi, pociągnie ona za sobą skutki szkodliwe, a pierwszym z nich jest pominięcie Popowskiego przy wyborze do delegacyi.

W mniej parlamentarnych formach odbyła się walka liberałów z antisemitami w pełnej Izbie. Odkąd ks. Liechtenstein na czele antisemitów wszedł znowu do par-

---

Jezioro spoczywało w ciężkim spokoju: okręty i promy, niezgrabne, o szerokich nosach, bruzdami przecinały ołowianą jego powierzchnię, pasami znaczyły ją na prawo i na lewo, sunąc coraz dalej; dym grubymi kłębami podnosił się z kominów; uderzenia kolb maszynowych w wilgotnej przestrzeni głuchym rozbrzmiewały dźwiękiem. Ani słońca, ani wiatru: za mną drzewa pokryte rosą, ławka, na której siedzę— zimna i ślizka. Czas mija — myślę o niebieskich migdałach, czuję znużenie; w plecy zimno! Wkrótce zauważam, że powieki mi się kleją... I pozwalam im się kleić...

Kiedy się obudziłem, wokoło mnie było ciemno: napół nieprzytomny, zmarznięty schwyciłem mój pakiet i zacząłem biedz. Biegłem coraz prędzej, chciałem się rozgrzać trochę: machałem rękami, tarłem sobie nogi zdrętwiałe, jakby martwe. W ten sposób doszedłem do gmachu straży ogniowej. Była dziewiąta, spałem parę godzin.

Cóż miałem począć z sobą? Gdzież przecież podziać się musiałem! Stoję, przyglądam się gmachowi, myślę, czy nie dobrze byłoby prześliznąć się do jednego z korytarzy w chwili, kiedy patrol się odwróci. Wchodzę na schody, chcę z nim wszcząć rozmowę: strażak salutuje siekierą i czeka. Podniesiona, ostrzem do mnie zwrócona, jakby zimnem cięciem nerwy mi przeszywa: milknę z obawy przed tym zbrojnym człowiekiem i cofam się mimowoli. Nic nie mówiąc, cofam się coraz dalej i dla zachowania pozorów przesuwam ręką po czole, jak gdybym był czegoś zapomniał! Na dole uczuwam pewną ulgę, jak po minionem niebezpieczeństwie. I uciekam!

Zimno, głodno, ciężko na duchu! Idę ulicą Karola Jana w górę, klnę głośno, nie zważam, że ludzie słyszą! Koło gmachu Stortningsa, przy pierwszym lwie, przypomina mi się wskutek idyosynkrazyi malarz, młody człowiek, którego znałem i którego w Tivoli ocaliłem był raz od policzka. Później złożyłem mu wizytę. Klaskam palcami i schodzę na Tordenskjolsgade; znajduję drzwi z szyldem „Zacharyasz Bartel“ — pukam.

Otwiera sam; czuć od niego piwo i tytoń, aż wstręt bierze.

— Dobry wieczór! — mówię.

— Dobry wieczór! Ach, to pan! Dlaczegóż, u dyabła, tak późno! Przy lampie nic nie widać! Dodałem stóg siana, całość trochę zmieniłem. Musi pan to obejrzeć za dnia, teraz na nic się nie zdało!

— Ale owszem, proszę mi pokazać — rzekłem; zresztą nie wiedziałem, o jakim on właściwie obrazie mówi.

— Niemożliwe! — odpowiada. Wszystko przedstawia się w żółtem świetle. A przytem — nachyla się i szeptem kończy — oczekuję dziś wieczorem kogoś u siebie... nie na rękę mi więc...

— To co innego!

Powiedziałem dobranoc i poszedłem.

Należało tedy szukać schronienia w lesie. Gdyby przynajmniej ziemia nie była tak wilgotna! Pomacałem kołdrę, starałem się oswoić z myślą, iż nocować będę na dworze. Tak długo męczyłem się poszukiwaniem mieszkania w mieście, że wreszcie sprzykrzyły mi się wszelkie zabiegi; z rozkoszą marzyłem o spokoju, dobrowolnie pragnąłem poddać się zachciankom losu, pragnąłem wałęsać się, nie myśląc o niczem. Poszedłem popatrzeć na zegar uniwersytecki: było po dziesiątej; stąd udałem się w drogę do miasta. Na Haegdehaugen stanąłem przed sklepem spożywczym: w oknie leżało różne jadło. Obok okrągłego chlebka drzemał kot; za nim stały: słój z tłuszczem gęsim i parę słoików z grysikiem. Przez chwilę przyglądałem się temu wszystkiemu; ponieważ kupić nic nie mogłem, więc zabrałem się w dalszą drogę. Szedłem wolno coraz dalej, godzinę po godzinie, nareszcie dotarłem do lasku miejskiego.

Tutaj koło drogi usiadłem, aby wypocząć. Potem zacząłem szukać sobie odpowiedniego miejsca, zebrałem trochę wrzosu i jałowca i usłałem sobie łoże; otworzyłem pakiet, wyjąłem kołdrę. Byłem bardzo zmęczony, zbity i natychmiast ułożyłem się do spoczynku. Długi czas przewracałem się z boku na bok, wreszcie ległem wygodniej; ucho trochę mnie bolało, spuchło nawet wskutek uderzenia, tak że oprzeć się na niem nie mogłem. Zdjąłem buty, podłoży-

lamentu austryackiego, burdy wprost karczemnego charakteru powtarzają się co parę tygodni. Onegdaj między liberałem Wrabetzem a antisemitą Schneiderem doszło do sceny tak gwałtownej, że musiano wybrać komisyę, która rozsądzała ich spór. Wrabetz zarzucał Schneiderowi, że ten dopuścił się fałszerstwa, Wrabetzowi znów zarzucali antisemici, że chowa do własnej kieszeni dochody z fundacyi Franciszka Józefa, przeznaczone dla ubogich. Tak to bawią się posłowie nad modrym Dunajem podczas lata!

*S-z.*

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozpoczęła się zwykła letnia epoka wypoczynków i podróży monarchów i ministrów. Te ostatnie należą również do polityki i często intrygują świat bardziej, niż inne wypadki. Obecnie główną uwagę ściąga na siebie podróżujący cesarz niemiecki, gdyż prasa mniema, że nie wybrał on się do Anglii tylko dla rozrywek i odwiedzenia babki. Uparcie wypierane, również uparcie powraca do opinii publicznej przypuszczenie, że Anglia w jakiś sposób przyszyła się do potrójnego przymierza. Ma to być przyczepienie luźniejsze, niż innych członków sojuszu, ale zawsze zapewnia im poparcie W. Brytanii. Właśnie cesarz niemiecki miał teraz podpisać odnośny akt. Ile w tem jest prawdy — tylko wtajemniczeni wiedzą. Dla nas istnieje jedynie wielkie prawdopodobieństwo takiego związku, gdyż on odpowiada interesom Anglii. Przyjmowała też ona gościa z nadzwyczajną wystawą i serdecznością. Urządzono mu nawet coś nakształt manewrów wojskowych. Bardzo grzeczną odezwą zaproszono ochotników na popis, który według doniesień urzędowych wypadł świetnie, a według prywatnych — okropnie. Niewyćwiczeni, niewdrożeni do karności i musztry ochotnicy musieli dla cesarza niemieckiego, przywykłego patrzeć na swe z maszynową prawidłowością poruszające się wojska — przedstawiać dość komiczny widok. Ukrył wesołość w swem podziękowaniu, ale jadąc teraz do Norwegii, nieraz zapewne rozśmiesza się wspomnieniem o tym przeglądzie.

Ażeby nie schodzić z gruntu angielskiego, zaznaczyć winniśmy świeżą porażkę Parnella. Małżeństwem z panią O'Shea nie rozbroił on wrogów i nie rozszerzył koła swych zwolenników: duchowieństwo wzmocniło ponownie rzuconą na niego dawniej klątwę, a przy wyborze do parlamentu w jednym z okręgów poplecznik jego uległ w walce. Zdaje się, że żelazny ten człowiek zostanie ostatecznie złamany i że Irlandya wyrzeknie się swego znakomitego przywódcy i obrońcy. Nie może mu ona głównie przebaczyć tego samolubstwa i dyktatorskich zachcianek, z któremi się zdradził na początku walki po słynnym procesie.

Podróż Wilhelma II szczególnie zaniepokoiła Francyę, która ją uważa — i poniekąd słusznie — za zwróconą przeciwko niej. W *Timesie* ukazał się artykuł, któremu przypisują pochodzenie urzędowe, a który przedstawia możliwość postawienia przez państwa sprzymierzone kwestyi ogólnego rozbrojenia, nadmieniając, że Francya podtrzymuje głównie ciężar militaryzmu swą nieustanną groźbą odwetu. Jedna z gazet niemieckich odkryła nawet tajne stowarzyszenie, z siedzibą w Nancy, które stara się o rozdmuchiwanie tego zarzewia pomsty na niemcach za klęski 1870 r. Odkrycie to posłuży niewątpliwie za dowód, popierający twierdzenie, że Francya trapi Europę widmem wojny i że należy ją ubezwładnić.

Młody król serbski ma niezawodnie odwiedzić Petersburg, a z powrotem wstąpić do Wiednia, gdzie poufnie zapytywano, czy będzie mile widziany i otrzymano odpowiedź twierdzącą. Podróż ta ma na celu zacieśnienie węzłów sympatyi, łączących Serbię z Rosyą.

Książę Ferdynand także wyjechał z kraju, według jednych — dla naprawy zdrowia, według drugich — dla konkurów małżeńskich, według innych — w interesie swego nieuznanego dotąd stanowiska.

Cesarz austryacki ma już wkrótce udać się do Pragi dla odwiedzenia wystawy.

Między władzami galicyjskiemi a oficyalistami ks. Hohenlohe, właściciela dóbr od węgierskiej strony Tatr, wybuchło znowu ostre starcie o Morskie Oko. Spór ten ma już dość długą historę, obecnie jednak przeszedł w okres bijatyk. Wysłańcy księcia wyparli przedstawicieli rządu i zagrozili im strzałami. Prezes Koła, p. Jaworski udał się z zażaleniem do hr. Taaffego, który przyrzekł „energiczne“ wdanie się w tę sprawę. Niestety, węgrzy i pozostający pod ich osłoną panowie zbyt lekceważą sobie gniewy i groźby austryackie, ażeby można było wiele obiecywać sobie z tej energii.

Turcya, którą bandyci okładają dalej nowymi haraczami, spostrzegła, że ten nieprzewidziany wydatek zmusza ją do pomyślenia o swej kasie, w którą coraz więcej rąk się zanurza. Dlatego postanowiła skonwertować swoje długi, ażeby coś zaoszczędzić na procentach. Naturalnie, zmieni się przytem tylko pompa bankierska.

Castioni, który przy rozruchach w okręgu tessyńskim (Szwajcarya) zamordował Rossiego, skazany został na zamknięcie w domu poprawy przez lat 8.

## DONIESIENIA URZĘDOWE.

### *Pospolite ruszenie.*

(Ciąg dalszy).

17) Pospolite ruszenie zwołuje się i formuje w oddziały w możliwie najkrótszym terminie i najpóźniej po upływie 28 dni po otrzymaniu w gubernii Najwyższego rozkazu. Ostateczny ten termin może być przedłużony dla oddzielnych miejscowości po porozumieniu się p. ministra wojny z ministrem spraw wewnętrznych.

18) Liczba i rodzaj oddziałów, jakie mają być utworzone w każdej gubernii i okręgu, z góry określone będą przez władzę Najwyższą na przedstawienie p. ministra wojny i zarządzającego ministeryum marynarki.

19) Oddziały pospolitego ruszenia tworzą się w punktach z góry określonych przez ministeryum wojny i marynarki w porozumieniu z p. ministrem spraw wewnętrznych.

*Uwaga.* W punktach formowania oddziałów podczas pokoju utrzymywane być winny stałe kadry niższych stopni, przeznaczone do oddziałów pospolitego ruszenia. Liczba tych instruktorów zależy od władzy Najwyższej; prawa zaś ich i obowiązki określone będą w drodze rozporządzeń ministeryum wojny.

20) Zaliczone do pospolitego ruszenia osoby w randze oficerskiej przeznaczone są na z góry oznaczone posterunki w oddziałach pospolitego ruszenia po porozumieniu się między ministeryami spraw wewnętrznych, wojny i marynarki. Naczelnicy dywizyj pospolitego ruszenia, dowódcy brygad, pułków, oddziałów (drużyn), bateryj

---

łem je sobie pod głowę, przykryłem je papierem od Semba.

Wokoło panował wzniosły nastrój ciemności. Ale wysoko, na górze szumiał wieczny śpiew, grał powiew wiatru szmerem dalekim, bezdźwięcznym, szmerem, co nigdy nie ucicha. Długo przysłuchiwałem się tym tajemniczym świstom — i znowu myśli mieszać mi się zaczęły... To pewnie symfonie świstów, wirujących nade mną, śpiew w górze przez gwiazdy prowadzony.

— Cóż znowu! — zawołałem, śmiejąc się głośno i w ten sposób dodając sobie odwagi. To sowy krzyczą w Kanaanie.

Wstałem i położyłem się znowu, wciągnąłem buty, przechadzałem się w ciemności i znowu kładłem się; strwożony, gniewny walczyłem i cierpiałem do świtu, aż wreszcie zasnąłem.

* * *

Był jasny dzień, kiedy otworzyłem oczy; słońce musiało już być niedaleko południa. Włożyłem buty, zapakowałem kołdrę i puściłem się w drogę do miasta. I dzisiaj ani trochę słońca na niebie, marzłem jak pies; nogi mi zdrętwiały, oczy zaczynały się łzawić, jak gdyby światła dziennego znieść nie były w stanie.

Godzina trzecia. Głód strasznie daje mi się we znaki, chwilami słabnę, chwilami uczuwam mdłości. Zbaczam w kierunku do kuchni parowej, odczytuję wywieszoną tablicę, wzruszam znacząco ramionami, jak gdyby mięso solone nieodpowiednią było dla mnie strawą; stąd schodzę na dworzec kolejowy.

Nagle doznaję dziwnego zawrotu głowy; idę dalej, nie zwracając na to uwagi, ale coraz mi gorzej: muszę chwilkę siąść na schodach. W umyśle moim zachodzi jakaś zmiana, coś niby się przesuwa, niby tkanka, zasłona jakaś nagle pęka i przerywa się. Kilkakrotnie całą piersią czerpię trochę powietrza, zdziwiony zostaję na miejscu. Nie byłem nieprzytomny, bo ból w uchu czułem dotkliwie, a znajomego, który przeszedł, poznałem natychmiast: wstałem i ukłoniłem się.

Jakaż to więc nowa męka przyłączyła się do cierpień dawnych? Czy to może skutek noclegu na wilgotnej ziemi? Albo może głód, potrzeba spożycia śniadania? Na rany Chrystusa, tak żyć nie ma sensu! Nie pojmowałem, czem na to prześladowanie losu zasłużyłem? Nagle strzeliła mi myśl, że lepiej odrazu stać się łotrem, ot wziąć i zanieść kołdrę, naprzykład, do „starego.“ Mogłem ją zastawić za koronę, a za koronę można trzy razy podjeść sobie obficie i utrzymać się jako tako na powierzchni, póki nie znajdzie się coś innego. Przed Janem Pauli coś się zmyśli i po wszystkiem! Już byłem na dobrej drodze, zatrzymałem się jednakże przed wejściem, pokiwałem głową i wróciłem.

W miarę oddalania się od „lochu“ coraz więcej mnie cieszyło, że w walce z pokusą zostałem zwycięzcą. Pewność, że jestem jeszcze czysty i uczciwy falą krwi uderzyła mi do głowy; mogłem sobie powiedzieć, że jestem charakterem, świecącą latarnią wśród morza istnień ludzkich, morza, po którem płynęły tylko szczątki rozbitych okrętów. Zastawić cudzą własność na jadło dla siebie, napiętnować się pierwszym drobnym choćby znakiem, rzucić pierwszą, czarną plamę na wrodzoną uczciwość, wybrać sobie dobrowolnie nazwę „łotra,“ skazać się na spuszczanie powiek przed samym sobą — nigdy! Zamiar podobny nie powstał w głowie mojej na seryo, właściwie wcale nie powstał! Nie jest się odpowiedzialnym za luźne, dorywcze myśli, tembardziej, jeżeli głowa strasznie boli i kona się prawie pod ciężarem kołdry, która jest własnością cudzą.

Z czasem znajdzie się pewnie jakiś punkt wyjścia. Ot, jest jeszcze kupiec w Grönlandsleret. Czyż od czasu, kiedy wysłałem podanie, nachodziłem go co godzina? Czy zrywałem mu dzwonek? Nawet osobiście do niego się nie zgłosiłem! Może próba się udała, może tym razem szczęście łaskawszą do mnie dłoń wyciągnąć raczyło! Puściłem się tedy w drogę do Gronlandsleret.

Ostatni atak trochę mnie osłabił; szedłem nadzwyczajnie wolno, ciągle myśląc o tem, w jakiby sposób z owym kupcem mówić? Może to jaka dobra dusza; w szczęśliwej chwili da mi może z koronę zaliczki na przyszłą pracę i nie będzie czekał, aż

artyleryjskich i załóg okrętowych mianowani są rozkazami Najwyższymi. Inni oficerowie mianowani są przez dowódców i obejmują natychmiast dowództwo swych oddziałów; zatwierdzenie następuje w drodze zwykłej.

21) Do zajmowania stanowisk oficerskich w oddziałach wojska lądowego dopuszczane są: 1) na stanowiska dowodzących od naczelników dywizyj do dowódców rot, secin i bateryj włącznie oraz do składu sztabu osoby, które służyły wojskowo w stopniu oficera i zajmowały rangę o jeden stopień wyżej lub o kilka niżej od przeznaczonej sobie godności i 2) na niższe ober-oficerskie przeznaczane być mogą następujące zaliczone do pospolitego ruszenia osoby: a) które znajdują się lub znajdowały w randze młodszych ober-oficerów i poruczników, korneta i chorążego; b) które służyły w wojsku na prawach ochotników, jeżeli mają stopień podoficera albo otrzymują go po przesłużeniu w pospolitem ruszeniu przynajmniej w ciągu jednego miesiąca; te, które służąc w wojsku po losowaniu, posiadają świadectwa zakładów naukowych dwóch pierwszych kategoryj, albo które pozostają w służbie państwowej lub z wyboru i przytem ukończyły kurs w zakładach naukowych trzeciej kategoryi — jeżeli osoby te pozyskały stopień podoficerski lub otrzymają go po przesłużeniu w pospolitem ruszeniu przynajmniej jednego miesiąca; d) te, które nie służyły wcale w wojsku, lecz posiadają cenzus wykształcenia lub służby państwowej, oznaczony w poprzednim, jeżeli pozyskają stopień podoficera po przesłużeniu przynajmniej dwóch miesięcy w pospolitem ruszeniu.

22) Od czasu ogłoszenia Najwyższego rozkazu o mianowaniu dowódców formującego się pospolitego ruszenia, dawne nominacye odbywają się w sposób zwykle przyjęty.

23) Lekarzy, weterynarzy i felczerów mianują dla pospolitego ruszenia gubernialne lub obwodowe urzędy poborowe z pośród osób, należących do wojska tej kategoryi i posiadających jedną z owych specyalności (por. § 13 niniej. przep.). Listę osób tych, z wyszczególnieniem przeznaczonego dla każdej z nich stopnia, urzędy poborowe mają zawsze w pogotowiu w czasie pokoju. Wcielanie zaś do służby lekarzy i felczerów, w miarę zgłaszania się ich w punktach zbornych, odbywa się w sposób, ustanowiony przy przyjmowaniu na służbę oficerów, niedowodzących samoistnymi oddziałami (§ 20).

24) Przeglądu sformowanych już oddziałów pospolitego ruszenia (§ 6 i 33) dopełnia najbliższy miejscowy naczelnik wojskowy, a skoro uzna je za zorganizowane dobrze i gotowe do marszu, naczelnicy gubernij i obwodów zawiadamiają o tem sztab główny. Od tej chwili oddziały pospolitego ruszenia przechodzą pod zawiadywanie ministeryum wojny na równi z innemi wojskami lądowemi. Szeregowcy zaś pospolitego ruszenia sił morskich przechodzą pod zawiadywanie ministeryum marynarki z chwilą przybycia z danych gubernij do punktów, przeznaczonych na tworzenie komend morskich.

---

# SPRAWY EKONOMICZNE.

## OSTATNIE SŁOWO MANCZESTERYZMU.

### III.

W dotychczasowym rozbiorze dzieła *A plea for liberty* zajmowaliśmy się albo pracami teoretycznemi, które usiłowały wykazać przyszłą rzekomą niewolę, mieszając przytem biurokratyczną państwowość z centralizowaną ekonomicznie demokratyczną kooperacyą, lub też krytykami dzisiejszego przemysłu, fałszywie pojętego jak wzór unarodowionego przedsiębiorstwa. Mieliśmy wciąż do czynienia z hasłami ideologicznemi najzupełniejszej swobody osobniczej. Niech każda jednostka niesie sama jedna odpowiedzialność za swoje czyny, a wtedy godni zajmą najlepsze stanowiska i wogóle wypłyną na wierzch, podczas gdy męty opadną na dół. Społeczeństwo będzie doskonaliło się z każdem pokoleniem. Zgodnie z tem uznano ludzi bez pracy za nieponiów, a zwracających się do czytelni publicznych — za oszustów i pieczeniarzy. Rzecz jednak dziwna, że chociaż książka mówi, iż jednostka winna opierać się na własnych siłach i odpowiadać jedynie za swoje czyny, wciąż każe pokutować ludziom za grzechy niepopełnione. Przebija się to zwłaszcza w rozprawach przeciwko szkołom bezpłatnym. Co to, czy dzieci łajdackich rodziców, którzy są w nędzy dzięki własnej niezapobiegliwości, mają być wychowywane kosztem publicznym? — pyta wielebny Alford. Moglibyśmy go zagadnąć: gdzież tu jest swoboda indywidualna, jeśli pięcioletni dzieciak ma odpowiadać za przodków? Takich niekonsekwencyj zdołalibyśmy naliczyć więcej u naszych obrońców „jednostki.“ Owa swoboda osobnicza jest tu jedynie wypowiedzeniem klasowego sobkostwa warstw kapitalistycznych i w żaden sposób niewolno jej utożsamiać z indywidualizmem. Ten ostatni jest hasłem, wymagającem, aby umożliwiono jednostce zaspokojenie wszystkich pragnień z możliwie największą sumą szczęścia i dobrobytu; swoboda zaś naszych autorów oznacza tylko wolność umowy pomiędzy kapitalistą a najmitą i pozostawienie kapitałowi pola przemysłowego bez najmniejszych przeszkód. Pod swobodą ukrywa się tu wilk żarłoczny, wymagający, aby owce były wolne od pasterza, obory, psów. Swoboda szkolna dla manczesteryzmu ma jedno np. znaczenie — zwolnienie kapitalistów od podatku szkolnego, niezamożnych zaś dzieci — od oświaty. Widzieliśmy tego próbki w poprzednim naszym artykule. Słowem, rzekliśmy, mamy do czynienia z sobkostwem klasowem w całej jego pełni. Mówiąc to, bynajmniej nie chcemy twierdzić, żeby Spencer i in. byli ludźmi, którzy świadomie fałszują wiedzę społeczną i obłudnie głoszą hasła klasowe. Przeciwnie, każdy z nich gotów może wiele poświęcić dla „sprawy ludu,“ którą będzie jednak pojmował ze swego stanowiska, tak iż działając szczerze dla „dobra ludowego,“ będzie szermierzem nieświadomym interesów własnej klasy. Jak np. zwykły przedsiębiorca będzie pojmował interes najmity? W zakładzie jego znajdują się najrozmaitsze temperamenty; jedni są systematyczni, pracowici, inni nerwowi, przepuszczający niekiedy robotę, ostro odpowiadający. Przedsiębiorca z samego swego położenia cenić będzie pierwszych i w razie zastoju do ostatka będzie dawał im robotę, tymczasem gdy innych odprawi. „Nie chcą pracować“ — tak uogólni ich zachowanie się. I oto zwolna w umyśle jego powstanie pojęcie, iż głodna rezerwa pracy składa się z „nieponiów.“ Te same temperamenty nerwowe, „leniwe,“ w swoich zatargach z przedsiębiorcą zwrócą się pierwsze do inspektoratu fabrycznego; w chwili roboty śpiesznej, kiedy dla wykończenia zamówień trzeba pracować godziny nadliczbowe, będą one znowu uskarżały się na przeciążenie itd. Inspektorat fabryczny zamieni się zwolna w oczach naszego przedsiębiorcy na opiekę lenistwa. Solidarność klasowa w Anglii wymaga nadto, aby żaden najmita nie pracował dłużej, niż inni, a w ten sposób powstrzymuje jednostki

---

poproszę; ludzie tacy miewają czasami przewyborne pomysły.

Wśliznąłem się do bramy, dla nadania spodniom świeżości śliną wysmarowałem kolana, kołdrę złożyłem w kącie za skrzynią, przeciąłem ulicę wpoprzek i wszedłem do sklepiku.

Tu zastaję małego człowieka, który skleja torebki ze starych gazet.

— Chciałbym pomówić z panem Christie — rzekę.

— Do usług — brzmi odpowiedź.

— A więc, nazywam się tak i tak; przed paru dniami pozwoliłem sobie właśnie przesłać ofertę; nie wiem, na co mogę liczyć...

Powtórzył nazwisko moje parę razy i roześmiał się.

— Muszę panu coś pokazać!

To mówiąc, ofertę moją wyciągnął z kieszeni:

— Niechże się pan łaskawie przyjrzy, jak włada cyframi. List pana nosi datę 1848 r.

I śmiał się do rozpuku.

— To w samej rzeczy niewłaściwe — odrzekłem zrozpaczony... Roztargnienie... zamyślenie... Powinienby to uwzględnić!

— Widzi pan, ja muszę mieć człowieka, który się w cyfrach nie myli!.. Żałuję mocno! Takie wyraźne pismo — a i list mi się podobał!

Poczekałem chwilkę. To przecież nie jego ostatnie słowo... Zabiera się znowu do klejenia torebek.

— Żałuję, niezmiernie żałuję — ciągnąłem. — Ale to się już nie powtórzy!.. Mała omyłka w pisaniu nie czyni mnie przecież zupełnie niezdatnym do prowadzenia ksiąg wogóle!

— Ja też bynajmniej tego nie twierdzę; u mnie jednakże omyłka ta o tyle była ważną, że bezzwłocznie o innego postarałem się człowieka.

— Więc miejsce już zajęte?

— Tak.

— Boże kochany, więc żadnej niema już rady?

— Żadnej! Żałuję, ale...

— Żegnam!

Opanował mnie szał wściekły, brutalny. Zabrałem pakiet z za skrzyni, zaciąłem zęby i idę, trącam spokojnych ludzi na ulicy Obywatelskiej, nie przepraszając: jakiś pan staje i ostro za podobne zachowanie się zaczyna mnie strofować. Odwracam się, rzucam mu jakiś bezsensowny dźwięk prosto w ucho, odgrażam mu się pięściami pod samym nosem i idę dalej. Ogarnia mnie ślepa wściekłość, zwalczyć jej nie umiem! Jegomość woła policyanta, a ja na razie nic lepszego nie pragnę... Umyślnie zwalniam kroku, ażeby ułatwić mu pogoń za mną, lecz policyanta jakoś nie widać. Jakaż racya była w tem, aby najusilniejsze, najszczersze starania pozostawały bez skutku? Dlaczego właściwie uwziąłem się był na liczbę 1848? Cóż mnie ta przeklęta obchodziła? Teraz musiałem cierpieć głód taki, że aż wnętrzności jak robaki kurczyły się we mnie; kto mi ręczył, że do wieczora znajdę pożywienie? A z każdą godziną czułem większą próżnię fizyczną i duchową z każdym dniem na mniej honorowe rzucałem się czyny. Kłamałem, nie rumieniąc się, oszukiwałem biednych ludzi na komornem, walczyłem nawet z niską żądzą przywłaszczenia sobie cudzej ,kołdry — wszystko to bez żalu, bez wyrzutów sumienia. Dusza moja butwiała, pokrywała się czarnym grzybem, który stopniowo coraz więcej się szerzył. A tam w górze był Bóg, i czuwał nade mną, i pilnował, ażebym zanikał powoli, według wszelkich prawideł sztuki, ażebym zanikał równo, miarowo, w takt... A w otchłaniach piekła źli szatani kręcili i gniewali się; gniewali się, że długo trwa, nim popełnię przestępstwo kardynalne, grzech śmiertelny, za który Bóg w sprawiedliwości swojej w błoto mnie strąci piekielne...

Szedłem prędzej, coraz prędzej, skręciłem na lewo i dostałem się nareszcie przed jasno oświetlony, a pięknie przyozdobiony zajazd. Nie stanąłem, nie zatrzymałem się ani na sekundę: pomimo to oryginalne urządzenie wejścia na świadomości mojej w mgnieniu oka ze wszystkimi odbiło się szczegółami. Drzwi, dekoracye, mozajki — wszystko to wyraźnie stało mi przed oczami w chwili, kiedym po schodach biegł na górę. Na drugiem piętrze silnie pociągnąłem za dzwonek. Dlaczego wbiegłem na

„pilne"; prześladuje każdego, kto zgodził się na inne warunki, gorsze niż inni. Znowu te same temperamenty występują jako podżegacze. Przedsiębiorca będzie jedynie utrwalał swoje poglądy. Co więcej, wychowął się on już w otoczeniu i niemal z mlekiem matki wyssał przeświadczenie, że prawodawstwo fabryczne zmniejsza zarobki rodziny „pracowitej," kładąc ciągle na pracę, nawet umiarkowaną dzieci; że „pracowity" zawsze znajduje miejsce i nie postawi żadnych ograniczeń względem pracy swoich towarzyszów; że klasowa solidarność najmitów jest niewolą dla jednostki. Zwolna w umyśle jego utworzy się ideał odpowiedni, mianowicie, że zupełna swoboda pracy jest jedynem zbawieniem dla rzesz najmickich.

Po tym nieco długim wstępie przechodzimy do pozostałych rozpraw, pomieszczonych w rozpatrywanem dziele, a mianowicie do tych, które poświęcono sprawie robotniczej. Vincent, mówiąc *O niezadowoleniu wśród warstw robotniczych*, zaznajamia nas z obecną postawą „nowych" trades-unionów (niefachowców) i piorunuje na solidarność klasową najmitów, jako na ujarzmienie „lepszych" jednostek przez masę. Howell (*O swobodzie pracy*) występuje przeciwko prawodawstwu fabrycznemu, jako innemu objawowi niewoli. W prawdzie przyznaje on użyteczność prawodawstwa hygieniczno-fabrycznego i zakazu wypłacania towarami, ale jednocześnie zżyma się na wszelkie regulowanie dnia pracy przez państwo. Swoją drogą autor ten, długoletni rzecznik fachowców pracy, wnosi niektórymi swoimi poglądami pewien rozdźwięk w chór harmonijny naszych manczesterystów. Na największą jednak uwagę zasługuje praca Auberona Herberta *Istotna droga wyzwolenia*, w której zostały drobiazgowo wyłożone poglądy manifestu na sprawę robotniczą. Ażeby ocenić to stanowisko, musimy się zapoznać nieco z dotychczasową polityką trades - unionów. Naprzód winniśmy wspomnieć, że związki zawodowe angielskie przyjmowały porządek kapitalistyczny, jako ostateczną postać ustroju społecznego. W walce nie szło zatem o zniesienie go, lecz o zdobycie lepszych warunków i powstrzymanie zbyt wielkich niedogodności. Ufając w swoje siły, odrzucały one wszelką pomoc państwową, zakładały własne istytucye emerytalne i ubezpieczenia na wypadek choroby. Naturalnie, pod tym względem były one w najzupełniejszej zgodzie z przykazaniami manczesteryzmu. Atoli co do zarobków i długości dnia, jakkolwiek wyznawały samopomoc, lecz trzymały się jej nie według wzorów manczesterskich, tj. nie pozostawiały pojedynczej jednostce zupełnej swobody działań, lecz regulowały ją według interesu zbiorowego. Ograniczano liczbę robotników w każdym trades-unionie, nadmiar rąk wysyłano do kolonij i prześladowano towarzyszów, którzy nie chcieli należeć do związku i pracowali na innych warunkach. Zbiorowo normowano płacę i czas roboczy, bezrobocia były środkiem dopięcia tego, a solidarność obowiązywała wszystkich zawodowców. Organizacya trades-unionów odpowiednio do tych zadań była nawskroś bojową i karność zawodowa odpowiadała temu przeznaczeniu. Nie podobało się to szkole manczesterskiej i w dawnych pracach Spencera możemy znaleźć w tej mierze gorzkie skargi z piorunowaniem przeciw „nieponiom" i „niewoli." Od lat kilku położenie rzeczy uległo silnej zmianie. Upadek ekonomiczny Anglii odbił się na zarobkach fachowców pracy; samopomoc zrzeszona, za pośrednictwem której spodziewano się dopiąć ubezpieczenia na starość i chorobę, zostać posiadaczami domków i akcyonaryuszami towarzystw spożywczych, została zachwianą. Zaczęto skłaniać się ku idei przymusowego ubezpieczenia państwowego. Nadto przed dwoma laty po raz pierwszy ukazały się trades-uniony niefachowej prostej pracy. Zarobek jest tutaj tak mały, że o żadnem samodzielnem polepszeniu bytu drogą zrzeszonej pomocy własnej niepodobna marzyć, gdyż zastępy kandydatów są za liczne, ażeby wszyscy dali się zaciągnąć do solidarnego związku, zmniejszenia dnia pracy itd. Jedynie państwo może drogą prawodawczą ustanowić pewne ograniczenia długości dnia roboczego. Jednocześnie, aby zmniejszyć wśród zastępów niefachowych konkurencyę ze strony głodnej rezerwy, zażądano, aby państwo systematycznie przedsiębrało różne publiczne roboty, zlikwidowało majątki ziemskie, często zapuszczone całemi milami pod zwierzyńce, i urządzało na nich zrzeszone kolonie rolne. Idee te i wymagania trades-unionistów niefachowych wpłynęły na stare związki i wywołały ruch znany pod nazwą „nowego trades-unionizmu." Marzenie o samopocy porzucono; natomiast rozwija się organizacya partyi klasowo-politycznej, która za pomocą maszyny parlamentarnej wprowadziłaby 8-godzinny dzień pracy, ubezpieczenia, prawo do pracy. Właśnie Auberon Herbert poddaje ostrej krytyce te wszystkie dążenia. Zasadnicze stanowisko teoryi określa on w tych słowach: „Ludzie nie są sobie równi w sile i wytrzymałości, a tem lepiej dla nich, jeśli te różnice znajdują należyte uwzględnienie. Są ludzie, którzy wolą dłużej, lecz wolniej pracować; są inni, którzy przekładają wytężoną, lecz krótką pracę; jeszcze inni, żeby otrzymać wyższą płacę, gotowi z natężeniem i długo pracować codzień. Jest to okrucieństwem zapoznawać te różnice i dyktować wszystkim jednakową pracę i jednaki zarobek." Autor, wychodząc z tego stanowiska i odrzuciwszy wszelkie wtrącanie się państwa do warunków pracy, stawia cały program warstwie robotniczej. Powinna ona być zorganizowana w trades-uniony, ale cele tych ostatnich muszą uledz zmianie. Niech każda miejscowość notuje wszelkie wahania i zmiany na swoim rynku roboczym, a te dane o zapotrzebowaniach pracy byłyby drukowane w organach zawodowych. Swoboda pracy winna być zupełna, każdy najmita stawiać własne żądania i pracować, jak długo zechce. Bezrobocia winny ustać; jeśli między pracodawcą a robotnikami zajdzie nieporozumienie, ci ostatni niech szukają gdzieindziej zajęcia, tamten zaś nowej siły roboczej. Jedynie w organie zawodowym podawane będą przyczyny niesnasek. Słowem, organizacya dzisiejsza zawodowa przestałaby być bojową, a zamieniła się na informacyjną. Pieniądze, idące dzisiaj na pokrycie kosztów walki, mogłyby zostać wtedy obrócone na kupno akcyj różnych przedsiębiorstw, zwłaszcza tych, gdzie pracuje robotnik, chcący zostać akcyonaryuszem. Trades-unioniści wytwarzaliby stowarzyszenia budowlane i stawaliby się zwolna posiadaczami niewielkich domków, albo też w pobliżu miasta mogliby nabyć kawałek gruntu, tutaj wybudować szałasy letnie i w skwarne miesiące roku używać świeżego powietrza. Nadto powinni wyuczyć się jeszcze jakiegoś rzemiosła domowego, aby w razie braku pracy znaleźć uboczne zatrudnienie. Następstwa tego będą niezliczone. Kapitał, wolny od wszelkich ataków i niebezpieczeństw, gorączkowo będzie wzrastał, tembardziej, iż Auberon Herbert marzy jeszcze o tem, iż warstwy pra-

---

drugie piętro, dlaczego chwyciłem za dzwonek, najdalej właśnie położony?

Młoda pani w szarej sukni z czarnem obszyciem otwiera mi drzwi, patrzy na mnie wzrokiem zdziwionym, kiwa głową i rzecze:

— Nie, nic dzisiaj nie mam! Chce drzwi zamknąć.

Cóż z nią zacząłem? Bez ceremonii wzięła mnie za żebraka; nagle odzyskałem zimną krew i spokój. Zdjąłem kapelusz, złożyłem głęboki ukłon i udając, że słów jej nie słyszałem, rzekłem nadzwyczaj grzecznie:

— Niech pani łaskawie wybaczy, że tak głośno dzwoniłem; nie znałem dzwonka. Mieszka tu podobno jakiś chory pan, który poszukuje człowieka do wożenia go w wózku?..

Zastanowiła się chwilkę nad moim kłamliwym wymysłem i zdawała się zmieniać zdanie co do mojej osoby.

— Nie! — odparła wreszcie — nie, tu żaden chory nie mieszka!

— Nie? — Starszy pan? Na dwie godziny dziennie, po 40 oerów godzina?

— Nie!

— W takim razie jeszcze raz przepraszam — może to na pierwszem piętrze. Chciałem przy sposobności polecić człowieka, którego znam i którego losem się zajmuję. Nazywam się Wedel-Jonsberg. Złożyłem ukłon i cofnąłem się; pani oblała się gorącym rumieńcem; stała na jednem miejscu, jakby skamieniała, patrząc za mną, gdy ze schodów schodziłem.

Odzyskałem spokój, jasność umysłu. Słowa: „nic dzisiaj dać nie mogę" podziałały na mnie, jak zimny natrysk. Na to więc zeszedłem, że pierwszy lepszy mógł wskazać na mnie palcami i powiedzieć: „Oto żebrak, jeden z tych, którym podaje się jadło przez drzwi przedpokojów."

Na Möllergade zatrzymałem się przed gospodą, wchłaniając w siebie świeży zapach smażonego mięsa; już złożyłem był rękę na klamce, chciałem poprostu wejść, ale w czas jeszcze rozmyśliwem się i poszedłem dalej. Stanąwszy wreszcie na Stortowie, nie znalazłem ani jednej wolnej ławki: wszystkie były zajęte; obszedłem cały kościół, wokoło ani kawałka miejsca, na którem możnaby było spocząć. — Naturalnie! rzekłem ponuro do samego siebie — naturalnie! I udałem się w dalszą drogę. Przy Bazarze skręciłem ku fontannie, napiłem się trochę wody i znowu szedłem dalej, włokąc nogę za nogą, zatrzymując się dość długo przed każdem oknem wystawowem, patrząc za każdym powozem, który przejeżdżał. W głowie czułem piekący żar, w skroniach dziwny stuk: woda, której się przed chwilą napiłem, oczywiście nie poszła mi na zdrowie; sprawiała mi wielkie mdłości. Tak zaszedłem nareszcie na Cmentarz Chrystusa. Usiadłem, oparłem łokcie na kolanach, głowę — na rękach; skurczona ta poza pomogła mi o tyle, że nie czułem przynajmniej gryzącego bólu w piersiach. Obok mnie, na wielkiej płycie granitowej, leżał kamieniarz, znacząc napis na grobowcu; nosił niebieskie okulary i przypomniał mi odrazu znajomego, urzędnika banku, o którym już dawno zapomniałem, a którego przed niejakim czasem spotkałem w kawiarni.

Gdyby też tak raz nazawsze wstyd wszelki zdławić i ot zwrócić się teraz do niego... Wyznam mu całą prawdę: że źle mi się obecnie wiedzie, że trudno mi opędzić najniezbędniejsze potrzeby: mogłem mu dać abonament golarski... Niech dyabli wezmą abonament! Sześć biletów za koronę. I nerwowym ruchem chwytam za ten skarb. Nie znajduję go... zrywam się więc, oblany śmiertelnym potem bojaźni, szukam... wyjmuję go wreszcie z kieszoni na piersiach wraz z innemi papierami czystymi i zapisanymi, bez żadnej wartości. Liczę te sześć biletów dużo razy, od pierwszego do szóstego i odwrotnie: dla mnie były przecież niepotrzebne, wolno mi wszakże zarzucić golenie z kaprysu, dla fantazyi! W ten sposób otrzymałem pół korony w jasnem, białem srebrze! Bank zamykano o 6-ej między siódmą, a ósmą postanowiłem czekać na znajomego jegomościa z banku — przed kawiarnią.

(D. c. n.).

cujące odsuną się od politykomanii i przestaną słuchać podszeptów ze strony różnych unarodowiaczów. Będą powstawały coraz nowe przedsiębiorstwa; zapotrzebowanie rąk roboczych ze strony kapitalistów wzrośnie, a z niem płaca. Nastanie złota era niesłychanego dotychczas dobrobytu...

Nie kreślimy dalej sielanki, opracowanej przez manczesterystę. Wyczerpaliśmy jej jądro w powyższych kilku rysach. Nie wiadomo doprawdy, co więcej należy w niej podziwiać, czy zupełną nieznajomość stosunku kapitału do pracy, czy też niedorzeczną ufność do skutków owej wymarzonej „swobody." Nie ulega wątpliwości, że sielanka owa będzie jedynie rajem dla kapitalistów. Nawet zrzeszenie najmickie zamieniono tutaj jedynie na środek łatwiejszego najmowania i wyzysku sił roboczych.

Na tem kończymy naszą pracę o manifeście manczesterystów angielskich. Jest to w całem tego słowa znaczeniu rzecz słaba, nieoparta na dostatecznej znajomości dążeń krytykowanego obozu. W gruncie widzimy tu tylko próbę obalenia prawodawstwa fabrycznego, przedsiębiorstw państwowych i wreszcie bojowo-klasowego stanowiska najmitów. Po za te cele praktyczne *Plea for liberty* nie wybiega. Zresztą posiada jedną wielką zaletę: nie obwija słów w bawełnę, nie cofa się przed żadnymi wnioskami z zasadniczych swoich założeń, nie kokietuje. Wypowiedziano szczerze i wyraźnie wszystko, co tylko leżało na sercu. Próby wprowadzenia bezpłatnego szkolnictwa za pomocą powszechnego głosowania nazwano rozbojem publicznym; korzystanie z bezpłatnych czytelni — kradzieżą; istnienie trades-unionizmu — nawoływaniem do wojny. Rzeczywistości nie ubierano w szaty, zasłaniające istotną nagość. Niema wątpliwości, że takie pojmowanie jest bliższe prawdy, aniżeli wielolicowe postawy różnych ekonomistów, chcących za pomocą etyki złagodzić ostrość rysów. Weźmy starożytne rzeczypospolite z walką demosu przeciw arystokracyi, owe tyranie demokratyczne, kiedy lud wypędzał arystokratów i dzielił się ich majątkami. Historyk na te zjawiska będzie patrzył wprost jako na walkę dwóch nieprzejednanych obozów, taktykę ich sądził nie łokciem etyki, ale celowością strategiki. Walka klasowa pomiędzy pracą a kapitałem nie jest czemś odmiennem. Że powszechne głosowanie stanowi oręż, za pomocą którego zdobywa się bezpłatne szkoły, prawo do pracy, emeryturę, to nic a nic nie zmienia istoty rzeczy. W gruncie jest to i będzie wojna zamaskowana, gdzie ten zwycięża, kto ma większą siłę, jest lepiej zorganizowany. Bezpłatna szkoła dla jednego obozu jest przegraną, rozbojem nawet, dla drugiego — koniecznem stanowiskiem do dalszego ataku. Przedstawienie to wielu umysłom wyda się czemś cynicznem, jest jednak prawdziwe. Realne odtworzenie cynizmu życiowego nie może oddychać humanitarnością.

*K. R. Żywicki.*

---

# LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA NIEMIECKA.

*10 lipca.*

„Eine Kühle Blonde," powieść z życia berlińskiego Ernesta Wolzogena. — „Die Liebestad," nowela szwajcarska. — Rossegera wspomnienia o Robercie Hamerlingu.

Ernest Wolzogen, zażywający od niedawna jako powieściopisarz dość miernego rozgłosu, zwrócił powszechną na siebie uwagę berlińskim obrazem obyczajowym, ogłoszonym w bibliotece Engelhorna (tom 12—13) pod tytułem „Eine Kühle Blonde." Nie tyle bohaterka utworu, ile wyrazistość i prawda w przedstawianiu życia zdobyły mu powodzenie niezwykłe. Nadto użył autor nieomylnego środka do spotęgowania zajęcia publiczności: wplótł w tok powieści osobistości znane, współczesne. Występuje w niej Bismark (jako kanclerz), dający obiad parlamentarny dla przyjaciół, następnie po raz drugi w radzie państwa. Na balu prasy berlińskiej spotykamy Spielhagena i wielu innych wybitnych artystów i literatów. Śmierć cesarza Wilhelma stanowi jeden z epizodów.

Już sam początek wprowadza nas w tę atmosferę, zmieszaną z poezyi i prawdy kronikarskiej, dziwnie realistycznej. Widzimy towarzystwo, opuszczające „Deutsches Theater," w którem tego wieczoru panna Pospiszil, obecnie aktorka Burgtheatru wiedeńskiego, wówczas zaangażowana w Berlinie, występowała w „Götzu." Towarzystwo to składa się z kilku głównych w powieści osób. Baron Drenk, właściciel dóbr i deputowany z Pomorza, po raz pierwszy córkę swą Leonorę oprowadza po Berlinie. Towarzyszy im kuzyn Günther von Schlichting, referendarz sądowy. Po teatrze wstępują do restauracyi „Friedrichsstadt." Tuż za nimi, przy długim stole, siedzą znakomitości berlińskie: kilku wybitnych krytyków, powieściopisarzy i aktorów, wśród nich słynny Kaing, który występował tego wieczoru w „Götzu" jako Franciszek. W gronie tem bawi też co wieczór niejaki dr. Gisbert Renard, figura prawdziwie wielkomiejska: pierwotnie adwokat, został spekulantem giełdowym, a równocześnie bawi się w pisarza. Odgrywa on pierwszorzędną rolę jako znawca piękności kobiecej i mecenas początkujących śpiewaczek. Człowiek o niezwykłej urodzie i zajmujących rysach, od pierwszej chwili wpadł w oko Leonorze. Lecz i ona zajęła wytrawnego donżuana, którego żona uciekła była do Ameryki, pozostawiając mu dwoje małych dzieci i znaczne długi. „Nie jestże to prześliczna istota?" — zapytuje Renard sąsiada, wskazując okiem na Leonorę. „Chłodna blondynka — odpowiada tenże — jest to najnudniejszy rodzaj kobiet." Lecz Renard inaczej sądzi tę „chłodną blondynkę." Jego najbardziej pociągają właśnie białe główki o niebieskich oczach. Przez cały wieczór patrzy w nią jakby w obraz święty. Przy wyjściu znajduje chusteczkę jej na schodach; w oka mgnieniu zapoznał się z towarzystwem, które znało imię jego z broszur, przezeń ogłoszonych. Leonora, która rumieniła się bezustannie pod spojrzeniem Renarda, odwzajemnia mu się sympatyą; niebawem następują zaręczyny i ślub. Głównem założeniem psychologicznem powieści jest przedstawienie stosunku tej pary o temperamentach tak nierównych. Wywiązał się Wolzogen z zadania tego nie z mistrzowstwem Bourgeta, ale bądź co bądź z talentem. Wyborna jest charakterystyka postaci wybitniejszych. Stary Drenk, walczący przeciw „skonfederowanym masonom i żydom," opuszczony przez córkę, dostaje się pod opiekę młodej polki, Marchlewskiej, która zręcznie nim kieruje. Młody siostrzeniec jego, Schlichting, gładki, zręczny, niesumienny mimo bezustannych frazesów o honorze, jest typem karyerowicza niemieckiego, który występując obecnie w każdym niemal dramacie i w każdej powieści, świadczy o powszechności zasad podobnych w dzisiejszem społeczeństwie niemieckiem.

„Die Liebestad" *) należy do owych nowel i powieści szwajcarskich, w których doktryna przeważa nad stroną artystyczną. „Liebestad," to imię prześlicznej willi górskiej, którą zamieszkuje pewien adwokat amerykański wraz z żoną. Była ona w Ameryce również adwokatem; z mężem poznali się przed sądem jako przeciwnicy. Jest niemką, która odbyła studya prawnicze w Paryżu; tam zaprzyjaźniła się ze studentką filologii i z malarką, które obecnie przybyły do niej w odwiedziny. Studentka filologii pomaga młodej parze w większej pracy naukowej: jest to dzieło o prostytucyi. W noweli tej mało jest akcyi, wypełniają ją głównie rozmowy o emancypacyi kobiet. Trzy wybitne przedstawicielki tego kierunku, które występują w noweli, przebyły losy wcale ciekawe; szkoda tylko, że czytelnik dowiaduje się o nich z kolejnego opowiadania samych bohaterek. Mniej wrażliwi na braki artystyczne znajdą w tej noweli niejedną myśl zajmującą. Przytaczamy czterowiersz, ułożony przez studentkę filologii:

Niedarmo w świecie to, co piękne:
Opłacisz żalem serca;
Nie darmo w świecie to, co wielkie;
Opłacisz samotnością.

Na zakończenie listu dzisiejszego parę wspomnień o zgasłym autorze „Ahaswera," Robercie Hamerlingu. Pamięć niezwykłej tej na parnasie niemieckim postaci odnowiła książka powieściopisarza Roseggera, przyjaciela zmarłego poety. Rosegger, w pierwszą rocznicę śmierci Hamerlinga, ogłosił swe wspomnienia z długoletniego z nim pożycia. Dzieło to zawiera nietylko niewyczerpany zbiór anegdot, lecz zarazem wyborną charakterystykę Hamerlinga. Młody, nieznany autor, znalazł u słynnego już poety życzliwe przyjęcie i poparcie, za które odwzajemnił mu się dożywotnią wdzięcznością. Lecz nie zawsze Hamerling spotykał się z tą nagrodą u młodych wieszczów, którzy zarzucali go rękopisami. Pewnego razu odebrał wiersz ze skromnem zapytaniem, czy przyznaje autorowi talent poetycki. Hamerling odpowiedział, że z jednego wiersza sądu wytworzyć sobie nie może. Na to odebrał list pełen grubiaństw, rozpoczynający się tak mniej więcej: „Jakto? więc nie jestem poetą? Haha! Więc byłbym durniem, sądząc od lat wielu, że mam talent, że jestem poetą, lepszym aniżeli wielu innych, lepszym nawet — przepraszam Pana — aniżeli *Pan*." Bezczelność ta tak zniechęciła Hamerlinga, że od tego czasu usunął się od żmudnego obowiązku odkrywania talentów.

Stronił on od towarzystw liczniejszych. Rosegger opowiada, że dumny poeta tak się pewnego razu wyraził: „Towarzystwo? Wymiana myśli? *Nie mieniam się z nikim!*"

*Ladawa.*

*) Zurich, Verlagsmagazin, 1891.

---

# PRASA NAUKOWA.

## II.

W artykule „O taryfach kolejowych" (*Ateneum*, czerwiec) p. Br. Werner zastanawia się nad przewrotem, jaki w stosunkach taryfowych nastąpił skutkiem ustanowienia w r. 1888 osobnego departamentu dla spraw kolejowych. Wszelkie przed owym czasem zawarte umowy między kolejami ruskiemi oraz zagranicznemi o przewóz towarów zostały wypowiedziane, a umowy, których terminy upłynęły, albo wcale nie zostały zastąpione nowemi, albo przeprowadzone na odmiennych zasadach. Po latach paru nie został — jak wyraża się autor — kamień na kamieniu, z dawnej, mozolnie w ciągu lat kilkudziesięciu wznoszonej budowy taryfowej. Obecnie zarządy dróg żelaznych, zarówno tych, które zostały upaństwowione lub bezpośrednio zbudowane kosztem skarbu, jak i tych, które korzystają z dopłat wskutek gwarancyi skarbowej i — niekorzystających z nich, znajdują się co do strony technicznej pod nadzorem ministeryum komunikacyi, a co do strony taryfowej — pod kontrolą ministeryum finansów. Ta ostatnia sięga tak daleko, że wyklucza możność zaprowadze-

nia najlżejszych nawet zmian w taryfach bez zgody ministeryum. Nowy stan rzeczy powoduje ociężałość w funkcyach organizmu kolejowego. Gdy dawniej prywatny przedsiębiorca, fabrykant, kupiec lub spedytor mógł się spodziewać uzyskania w czasie niedługim pożądanych udogodnień transportowych, dziś inicyatywa samych zarządów napotyka na nieuniknioną zwłokę czasu i rozliczne przeszkody. Z punktu widzenia departamentu cała sieć kolejowa stanowi jednolity organizm przewozowy, mający podług tych samych zasad w równej mierze obsługiwać interesy wszystkich dzielnic obszernego państwa, funkcyonujący podług jednej komendy, raportujący o swych czynnościach podług jednakowych szematów, nadto zaś mogący potęgować działanie rozporządzeń, wydanych dla regulowania stosunków ekonomicznych w innych dziedzinach gospodarstwa narodowego. Pogląd ten nie uprzytomnia faktu, iż sieć kolei w państwie powstawała nie dowolnie, skutkiem inicyatywy i na wyłączną odpowiedzialność prywatnych koncesyonaryuszów, lecz licząc się zawsze z pozwoleniem władzy i życzeniami państwa, w widokach którego zmieniono kierunki lub nie doprowadzono do naturalnych połączeń z innemi arteryami komunikacyi, że nadto pobudowano całą sieć kolei strategicznych, ciężar zaś procentów od kapitałów włożonych w linie kolejowe spada dziś równomiernie na wszystkie cząstki organizmu kolejowego. Departament, bez wątpienia, ocenia należycie znaczenie sieci kolejowej dla rozwoju ekonomicznego. Atoli zwrócić należy uwagę, że nie samo przyspieszenie, dzięki ułatwionej komunikacyi, wymiany bogactw stanowi o przyroście tychże, lecz również i koszt wymiany, konkurencya zaś między drogami obecnie pod władzą departamentu wykluczona, była właśnie czynnikiem zniżki kosztów wymiany. Dziś departament pragnie być przekonany o potrzebie obniżenia opłaty kolejowej, zanim na nią się zgodzi, a więc dowieść trzeba, iż istnieje np. tańsza komunikacya wodą, lub że przewóz końmi wypada na danej przestrzeni taniej, oraz że faktycznie się odbywa, że koszty produkcyi danego materyału są takie, iż przy taryfie istniejącej towar ów nie może dosięgnąć miejsca spożycia itp. Ponieważ jednak zbieranie danych statystycznych wogóle jest rzeczą u nas nową, prywatne biura statystyczne nie istnieją, a do urzędowych ludzie prywatni nie mają przystępu, takie więc z pomocą cyfr przekonywanie jest nader trudne. Dalej zastanawia się autor nad formułą, regulującą taryfy eksportowe i komunikacyi wewnętrznej dla zboża i produktów zbożowych. Formuła ta, jak wiadomo, brzmi: po $^1/_{24}$ od puda i wiorsty za odległości od 1 do 360 w. z rabatem 10% ponad 200 w.; za odległość od 261 do 1,500 w. tyle, co za 360 w., a ponad 360 w. po $^1/_{60}$. Za odległość od 1,501 do 3,000 w. tyle, co za 1,500 w., a odległości większe po $^1/_{200}$. Dalsze odległości ponad 3,000 w. darmo. Dodatnią stroną formuły tej jest możność połączenia w komunikacyi bezpośredniej wszystkich stacyj całej sieci dróg, ujemnie natomiast wpływa ona na stosunki wytwórcze i handlowe bliżej portów i granic zachodnich. Rzeczą jest jasną, iż udziela ona pewną premię okolicom wschodnim państwa kosztem rolnictwa kresów zachodnich. Albowiem transport zboża, wysyłany z Ufy do Warszawy, kosztuje tyleż, co i 213 w. dalej, tj. do Aleksandrowa, podczas gdy dla miejscowego wytwórcy też samo 213 w. przewozu obliczone jest bardzo wysoko. Pożądaną więc poprawkę formuły stanowiłoby zniżenie taryfy w ruchu miejscowym za przewóz zboża na kresach zachodnich, a przedewszystkiem wykreślenie z produktów zbożowych, korzystających z taniego przewozu podług formuły i z przewozu podług taryf wywozowych, mąki sprowadzanej na potrzeby miejscowe.

Nad „Kwestyą gminy zbiorowej w Galicyi“ zastanawia się p. H. Konic. Autor przypuszcza, iż rozwój gminy odbywać się będzie nadal kosztem uszczuplenia parlamentaryzmu i że niedaleki jest czas, kiedy różnorodne sprawy, zaprzątające dziś umysły izb prawodawczych, powierzone zostaną samorządowi gminnemu. Gmina jednoczyć w sobie musi wszystkie sfery i stany, nie może reprezentować tej lub innej klasy ludności, musi być wszechstanową. Należy utworzyć gminę zbiorową, obszary dworskie powinny być wcielone do niej. Ale jak przystosować dzisiejszy ustrój autonomii galicyjskiej do tak pojętej gminy zbiorowej? Ustrój ten wspiera się na zasadzie dualizmu, widzimy dwa szeregi organów, jeden stojący na straży interesów ogólnopaństwowych, drugi mający na względzie potrzeby samorządu. Z tego rozdziału gmina jest wyłączona, obie sfery łączą się w niej i odpowiednio do tego zostaje ona pod nadzorem i kontrolą obu kategoryj władz. Zarazem jednak ciężary, włożone na nią, są zbyt wielkie, ogrom czynności—brak środków i ludzi. Autor przypuszcza, że przyłączenie obszarów dworskich do gminy wpłynęłoby na obsadzenie stanowisk wójtów przez przedstawicieli inteligencyi. Jeśli jednak radzi ustanowić większy census wykształcenia dla wójtów, o tyle z drugiej strony pragnąłby rozszerzenia czynnego udziału włościan w administracyi gminnej wewnętrznej. Zdaniem jego dałoby się to osiągnąć przez wprowadzenie obok rad gminnych — zgromadzeń gminnych. Odnośnie do niezależności gminy zbiorowej, autor jest tego przekonania, iż nadzór nad gminą należałoby powierzyć tylko państwu. „Niechaj gminie pozostawiona będzie jaknajwiększa samodzielność, niechaj prawo orzeknie samoistność i stanowczość całego szeregu orzeczeń władz gminnych, niechaj decyzye tych ostatnich będą wykonalne bez potrzeby zatwierdzenia ze strony państwa, lecz *odwołanie się* służyć musi i powinno do tego ostatniego. Tylko władza rządowa, niezależna i rozumnie pojmująca swe obowiązki, stanie się instytucyą bezstronną, rozstrzygającą spory bez uprzedzeń, a niedość na tem, z wyższego stanowiska państwowego tylko władze centralne zdolne są zachować jednolitość i stałość w sądzeniu.“ Na projekt prof. Kasparka (w dziele „Uwagi krytyczne o galicyjskiej organizacyi gminnej“), domagający się utworzenia komisyj gminnych powiatowych i komisyi gminnej krajowej, powołujących z jednej strony reprezentantów rządu, z drugiej—przedstawicieli wyższych organów samorządu, autor zapatruje się sceptycznie.

W dalszym ciągu pracy p. J. Blocha p. t. „Ziemia i jej odłużenie“ w *Bibliotece warszawskiej* znajdujemy następujące rozdziały: „Pochodzenie długów i szacunki,“ oraz „Stan majątkowy własności małej, średniej i większej.“ Jednym z najważniejszych, zdaniem autora, czynników, powodujących wysokie odłużenie majątków, jest dążność w biegu dziejów wyrobiona do skupienia w jednem ręku dużych obszarów, nadto nakazany przez kodeks cywilny równy podział schedy. Pogodzenie tych dwu wymagań odbyło się kosztem pomyślności gospodarstw rolnych. Gdy jeden przedstawiciel rodu obejmuje majątek niepodzielony, części rodzeństwa obciążają hipotekę. Po dokonaniu równego podziału spadku tj. po spłaceniu sukcesorów w ciągu 3—4 pokoleń majątek pogrążyć się musi do $^3/_4$, a czasem i do $^9/_{10}$ w długi. Reszty szacunków i sumy posagowe, oto druga, trudna do uniknięcia przyczyna zadłużania się. Mówiąc o długach szacunkowych, które do pewnego stopnia są wskazówką ilości dokonywanych tranzakcyi kupna i sprzedaży, autor usiłuje dać pojęcie o ruchu własności, czyli przechodzeniu jej z rąk do rąk w czasach ostatnich. Zebrany przezeń materyał statystyczny dotyczy wyłącznie guberni płockiej i lat 1855—1890. W ciągu pomienionego sześciolecia 11,9% ogółu ziemi w majątkach, objętych hipoteką gubernialną, zmieniło właściciela. Przeciętna w tym okresie cena morgi wynosiła rs 50. Z wolnej ręki sprzedano 66,3%, w drodze licytacyi 33,7%. Przeciętnie majątek z wolnej ręki sprzedawany obejmował 318 mórg przechodzący przez licytacyę 481. Pierwsze szły wyżej na mordze od drugich 17—20 rs. Dług pochodzący z niedopłaconych szacunków na hypotekach wszystkich dóbr wynosi ogółem 1,769 tysięcy rubli. Wysokość jego nie świadczy o wielkiej zasobności nowonabywców. Wobec istniejącego już wysokiego odłużenia ziemi — powiada autor — kupujący zwykle uiszczają znaczną część należności przez przyjęcie dawnych długów, gotówki więc nie potrzebują mieć wiele. Dług szacunkowy świadczy, że i tego niewiele nie posiadają, a to jest jeden z kluczów otwierających tajemnicę odłużenia, kto bowiem kupuje ziemię bez gotówki, jutro musi pożyczać na zasiewy, na robotników, inwentarz, podatki itp. Obrachowanie sum posagowych przedstawiało dla autora zbyt wielkie trudności, ponieważ charakter posagu nie zawsze jest w zobowiązaniu hipotecznem ujawniony; pewne dane zebrał autor tylko dla dwóch powiatów prasnyskiego i ciechanowskiego, suma posagów wynosi tu 340 t., więc nader znaczna, bo obliczenie w tym stosunku dla kraju całego dałoby miliony. Długi tego rodzaju skutkiem emigracyi ze wsi do miasta utraciły swój łagodny charakter zobowiązań rodzinnych, natomiast coraz bardziej przybrały cechę długów zwyczajnych. Jako zrównoważenie strat, spowodowanych wydawaniem córek za mąż do miasta, podaje autor konieczność nawrócenia ruchu: niech ziemianie łączą się z córkami zbogaconych przemysłowców, w taki sposób rody arystokratyczne Anglii leczą swą anemię materyalną i dzięki tej kuracyi utrzymują się wciąż na wysokich stanowiskach. Dalej przystępuje autor do szczegółowego przeglądu odłużenia we wszystkich, przyjętych przez siebie grupach majątkowych po kolei. W każdej obrachowywa oddzielnie każdy rodzaj długu (Tow. prywatne, reszty szacunków, posagi, należności skarbowe etc.) wraz z obliczeniem na morgę, następnie ustanawia dla każdej grupy procentowy stosunek dóbr na różnych stopniach odłużenia. Wniosek z cyfr wyciąga taki, iż w położeniu względnie najlepszem znajduje się w Królestwie własność największa (59% w stanie pomyślnym tj. wcale nie odłużone, lub niżej dwa razy wziętej pożyczki Tow.). Osobna posiadłość znajduje się względnie w lepszem położeniu, niż średnia. Z zestawienia dóbr chrześciańskich i żydowskich okazuje się, iż różnic znacznych w stopniu i rodzajach odłużenia między nimi niema, wyjąwszy, iż dobra żydowskie stosunkowo rzadziej uciekają się do kredytu Towarzystwa.

*F. B.*

---

# ŻYCIE SPOŁECZNE.

## Z POZNAŃSKIEGO

*11 lipca.*

Dwa nowe wielkie odkrycia. — Ulgi dla robotników, byle nie żydów. — Żniwa i ceny zboża. — Ratusz nowy i radny. — Bąk czy Bohnk?

Niemcy w ostatnich czasach zaczynają się wsławiać odkryciami, które dowodzą nader wielkiej ich bystrości umysłowej i czegoś, o czem już wolę zamilczeć. W tej chwili mamy właśnie przed sobą dwa takie olbrzymie odkrycia i to w dziedzinie etnografii. Prusy, jak twierdzą ich organy

urzędowo, wynalazły dwie odrębne narodowości w swem łonie, o których one dotychczas nie wiedziały, mianowicie... *naród* „szląski“ i *naród* „warmijski.“ Wprawdzie nie przywędrowały one tam w ostatnich dopiero czasach i zdawien dawna na ziemiach obecnie zajmowanych żyją, ale teraz dopiero dały znak życia i przy tej sposobności dopiero dostrzeżono i „jako istoty nieposiadające właściwej nazwy“ ochrzczono. Język, jakim się te dwie narodowości posługują, jest słowiański, tak, prawdziwy słowiański, z *„domieszką* polskiego.“

Odkrycie to, zrobione przez prasę niemiecką, wcale jej nie cieszy, przeciwnie boli, uporczywie boli, bo ona ciągle doń wraca i od trzech tygodni nieustannie się niem zajmuje. Nie chodzi jej o polepszenie bytu tych „nowoodkrytych“ narodów, ani wspomożenie, ale o zupełną zagładę. Szlązacy i warmijczycy zachowywali się dotychczas cicho, tj. nie skarżyli się, tylko kupili się w sobie i pracowali. Dziś rozwinęli się i chcą stanąć w ustroju państwowym jako odrębna gałąź, bo przecież są słowianami i w całem tego słowa znaczeniu.

Szląsk rozwinął się głównie po r. 1870, od czasów Karola Miarki, redaktora i nakładcy *Katolika*. Miarkę karano i procesami prasowymi gnębiono tak, że w trzy lata po założeniu *Katolika* miał już 6,000 prenumeratorów, dziś 14,000, a nadto *Pracę* z 10,000 abonentów i beletrystyczne *Światło* z 2,000. Z innych pism szląskich *Nowiny raciborskie* mają 3,000, a *Gazeta opolska*, istniejąca dopiero dziewięć miesięcy, 1,500. Wyliczając te cyfry, *Kattowitzer Zeitung* formalnie się pieni i być może, że trzeba ją będzie wysłać do instytutu, który się zajmie leczeniem wścieklizny.

Podczas gdy jedne pisma niemieckie rzucają się na tych nowoodkrytych biedaków, drugie starają się „wziąć“ ich głaskaniem i uprzejmością. Szczytem tego kierunku jest *Oberschlesische Volkszeitung*, która w ostatnim numerze tak pisze: „Górnoszlązacy są dobrymi katolikami i dobrymi prusakami, a ludność górnoszlązka jest uczciwą i stoi zdala od wszelkich tendencyj słowiańskich.“ Dobre tak to, jak i tamto, tylko niewiadomo, które lepsze.

Naczelne prezydyum szlązkie poczyniło dalsze ulgi co do sprowadzania robotników z krajów pogranicznych, a tylko zastrzegło się z całą stanowczością przeciw żydom, „którzy, jak wiadomo, do państwa niemieckiego wkraczają nie dla pracy w wyszczególnionym obrębie, lecz w tym celu, aby trudnić się handlem lub innymi interesami.“ To zastrzeżenie końcowe ma gruntowne swe uzasadnienie w niechęci ludności wiejskiej przeciw żydom, którzy może trochę zanadto zajmowali się operacyami pieniężnemi z jej szkodą.

Nielada kłopot zaczyna zwolna opanowywać wszystkie warstwy naszego społeczeństwa. Żniwa, zapowiadające się według doniesień urzędowych świetnie, stanowczo zawiodą. Żyto, schwycone w chwili kwitnienia przez mróz i deszcze chłodne, nieda dobrego plonu. Dość powiedzieć, że 3, 4 i 5 czerwca w nocy spadł termometr do zera. Toż samo dotknęło kartofle i groch. Kartofle mogą się jeszcze poprawić, chociaż doświadczeni rokują im zupełną klęskę. Podobnie było w roku zeszłym i dwa lata temu; pola kartoflane były już w czerwcu z zimna zczerniałe, a mimo tego zebrano ich dość wiele. Na pszenicę spadły rdza i śniedź, buraki cukrowe wyglądają nieźle, tylko zielsko tak samo dokuczliwie, jak zeszłego roku, dało się we znaki przy obróbce. Owsy i jęczmienie obiecują zbiór średni. Nic też dziwnego, że przy takiej zapowiedzi podskoczyły ceny produktów rolnych w górę. Niewątpliwie jednak przyczyniła się do tego także i giełda zbożowa, gdzie zawsze „na przednówku“ spekulanci popychają ceny jaknajwyżej.

Dość porównać ceny zeszłoroczne z obecnemi. Za 1,000 kg. płacono:

| | r. 1890: | r. 1891: |
|---|---|---|
| pszenicy . . . . | 193 M. | 234 M. |
| żyta . . . . . . | 167 | 201 |
| jęczmienia . . . . | 167 | 168 |
| owsa . . . . . | 170 | 175 |
| grochu . . . . . | 231 | 238 |
| kartofli do jedzenia . | 42.3 | 77.4 (!) |
| masła stoł. . . . | 224 | 231 |

Oczywiście, że głównie już zaopatrują się Prusy zbożem obcem, bo miejscowe natychmiast po zbiorze znajduje kupca. Otóż urzędownie stwierdzono, że przypływ tego roku, mimo zapowiadającego się nieurodzaju, w ciekawy sposób opadł. W pierwszych pięciu miesiącach 1891 r. dowóz pszenicy wynosił 2,085,145 podw. cetn. (w 1890 r. 2,473,347); żyta 2,313,617 podw. cet. (w 1890 r. 3,528,245). Zboża zatem zużywanego na chleb dowieziono w pierwszych 5 miesiącach r. b. o 1,600,000 podw. cet. mniej, aniżeli w tychże 5 miesiącach roku ubiegłego! Sama Rosya dostarczyła w roku bieżącym Prusom tylko w maju 383,790 podw. cetn. pszenicy i 576,557 żyta, potem idzie dowóz z Ameryki północnej i z Indyj wschodnich.

Mimo jednak grożącego głodu i bardzo opłakanych stosunków finansowych Poznania, miasto to będzie już w najkrótszym czasie budować wspaniały ratusz kosztem 425,000 mar. bez wodociągu i gazu, co także pochłonie parę kroć marek. Budynek wedle projektu będzie wzniesiony w stylu niemieckiego renesansu, o trzech piętrach. Na parterze pomieszczone kasy miejskie, na pierwszem piętrze obszerna sala posiedzeń — a reszta obejmie 13 pokoi. Na tem samem posiedzeniu, rozstrzygnięto również sprawę wyboru płatnego radcy magistratu; nie będzie nim polak, mimo poprzedniej uchwały rady miejskiej, o której pisałem, lecz niemiec Bail z Gdańska. Kontr kandydat p. Wyczyński przepadł, gdyż z powodu równości głosów musiał rozstrzygać los, który właśnie padł na Bailego. Gdyby radny Jerzykiewicz był wrócił w czas na posiedzenie, byłby przeważył szalę inaczej. Prasa niemiecko-poznańska wytłumaczyła wczoraj swoim czytelnikom całą sprawę zupełnie otwarcie, że gdyby się było stało inaczej, byłoby niepolitycznie.

Na końcu charakterystyczny szczegół. *Posener Zeitung* pisze „restaurator poznański Bohnk (czytaj Bąk) wyratował dwoje dzieci z Warty. Siedział nad brzegiem rzeki w pobliżu placu budowlanego Glatza, gdy nagle ujrzał, że nieopodal małe dziewczę spadło z wystającego w rzekę muru. Dziesięcioletni braciszek dziewczynki, chcąc ratować siostrę, mężnie skoczył do wody; był jednak za słaby do tego i tonął. Bąk rzucił się w rzekę i oboje dzieci wyciągnął.“ P. Bąk był zrazu uradowany, gdy się dowiedział, „że stoi w gazecie,“ ale przeczytawszy słowo *Bohnk*, ścisnął pięście i jakoś zagadkowo niemi machnął.

*t. z.*

# PAMIĘTNIK.

### Niedopowiedziana prawda.

Z wielu stron słyszeliśmy i słyszymy ciągle zarzut, że jesteśmy narodem nieszczerym. Wada ta niewątpliwie tkwi w naszym charakterze, chociaż zaszczepiła się w nim stosunkowo niedawno i na całkiem przeciwnej, gdyż w przeszłości grzeszyliśmy tylko zbyt szerokiem otwieraniem swoich serc i umysłów. Dziś jednakże okropną dwujęzyczność dostrzedz możemy na każdym kroku.

Przeczytałeś pochwalny sąd o jakiejś sztuce i postanowiłeś ją poznać. Spotykasz krytyka i mówisz: „Na wiarę pańskiego zdania o tym utworze, idę do teatru.“ — „Nie trać pan wieczoru i pieniędzy — odpowiada ci — bo jest to licha ramota.“ — „Dlaczegóż pan...“ — „Trzeba było napisać pobłażliwie.“

Urządzona zostaje wystawa szkiców malarskich — sprawozdawcy biją w bębny i wznoszą wiwaty. Pytasz jednego z nich, czy istotnie są tam rzeczy tak znakomite. „Paćkanina — powiada, śmiejąc się — pod psem, pod zdechłym psem, ale niepodobna było biedaków dyskredytować.“

Zdarza się jakiś wypadek. Czytasz w pismach wszystkie objaśniające go szczegóły i zdaje ci się, że całą tajemnicę wydobyto na wierzch. Gdzie tam! Pierwszy lepszy „dobrze poinformowany“ dziennikarz wyśmieje cię i szepnie: „W rzeczywistości stało się zupełnie inaczej, tylko nie można było prawdy ujawnić.“

Wystąpi na widownię publiczną jakiś niepoń, który powinien stać pod pręgierzem, a wolą ludzi uczciwych stoi na stanowisku poważanem. Robisz im z tego powodu wymówki — tłomaczą się: „Widzi pan, mało mamy cnót prawdziwych, więc musimy używać ich surogatów, bo zbyt oczy są na nas zwrócone.“

I tak dalej.

Ostatecznie dochodzisz do tego przekonania, iż prasie nie należy wierzyć, że po za jej opisami i doniesieniami kryje się zawsze jakaś ważna część prawdy, która zupełnie zmienia przeznaczoną dla wiadomości publicznej.

Podejrzenie to nie odstępuje nas przy sprawozdaniach z ostatniej emigracyi. Nie przeczymy, że ks. Chełmicki, który dość gruntownie zbadał warunki życia wychodźców w Brazylii, rozjaśnił nam wiele punktów ciemnych i wogóle celowi swej wyprawy zasłużył się wielce. Ale czy był zupełnie szczery? Czy swoim znajomym i przyjaciołom nie dopełnił ustnie opisów drukowanych? Pytanie to nasunął nam jeden szczegół. Niedolę emigrantów skreślił on barwami tragicznemi, uczuł dla nich głęboką sympatyę i niemal rozpaczliwy żal, że ich wszystkich sprowadzić nie mógł. Tymczasem po powrocie współpracownikowi *Kuryera codziennego* oświadczył: „Biorąc *na ogół*, pośród emigrantów naszych *mało* znalazłem ludzi porządnych. *Po większej części* są to obieżyświaty, szwarcowniki, mieszkańcy miasteczek nadgranicznych.“ Co to znaczy? Jak ten sąd pogodzić z rozczulającemi, niemal łzawemi słowami korespondencyj? Jeżeli między wychodźcami przeważają szumowiny, to nie mamy czego ani żałować, ani sprowadzać. W każdym razie byłoby bardzo pożądane, ażeby ks. Ch. tę stronę sprawy należycie oświetlił i — o ile to możliwe — oznaczył, jakie żywioły przyjęły największy udział w ruchu emigracyjnym. Ani cyfry bowiem, ani listy imienne tych, którzy powrócili na statku „Köln,“ tej zagadki nam nie rozwiązują, a jest ona bardzo ważna. *O.*

### Emigracya żydów.

*Warsz. Dniewnik* pisze:

„Mieszkańcy m. Tomaszowa w gub. lubelskiej, żydzi Icek Bursztyn Icek Gewissenheit z żoną i trojgiem małoletnich dzieci, Szyja Morer z żoną i dwojgiem dzieci i Dantir Morer, przeszli potajemnie przez granicę do Galicyi i we Lwowie byli powitani i przyjęci pod opiekę przez agentów barona Hirscha, dla przesiedlenia ich na jego koszt do rzeczypospolitej Argentyńskiej. Wiadomość o tem, otrzymana przez miejscowych żydów, wywołała wśród nich wielkie wrażenie, obudziła mnóstwo domysłów i nadziei. Przypuszczać należy, że dzięki temu emigracya żydów za granicę się wzmoże. Wielu z nich wypowiada już chęć emigrowania, nie mogą jej wszakże spełnić, ponieważ nie znajdują amatorów do kupna ich majątków ruchomych i nieruchomych. Wielu pragnie sprzedać domy po bardzo niskiej cenie, ale nie ma nabywców. Żydzi wybierają się za ocean, a miejscowi mieszkańcy chrześcianie nie mają pieniędzy. Ale ponieważ żydzi zawsze znajdą punkt wyjścia w trudnych okolicznościach, nie można przeto uważać za bezzasadne obaw miejscowych mieszkańców, że zaczną palić swoje domy dla uzyskania wynagrodzenia assekuracyjnego.“

### Konkurs architektoniczny.

Rozstrzygnięty konkurs na budowę nowego dworca dla kolei Warszawsko-Wiedeńskiej zakończył się typowo: trzy projekty uznano za dobre i piękne, pierwszą nagrodę dano p. Goldbergowi, drugą — Hussowi, trzecią — Kozłowskiemu, ale żadnego planu nie przyjęto do wykonania. Teraz komisya z przedstawionych jej ma ulepić nowy, który będzie odpowiadał wszelkim wymaganiom. Z tego wyniku i zamiaru nie robimy sędziom zarzutu, gdyż w podobny sposób kończą się konkursy architektoniczne prawie wszędzie. Artyści wypracowywują projekty, otrzymują za nie pochwały i nagrody, ale budowa odbywa się według składowego pomysłu komisyi, który nosi na sobie wszystkie cechy roboty użytecznej, jednocześnie wszakże łatanej i mechanicznej. Stąd też w gmachach publicznych coraz rzadziej spotykamy oryginalność indywidualną, a coraz częściej powszedniość szablonową. W obecnych czasach trudno sobie wyobrazić, ażeby gdzieś powstał gmach tego rodzaju jako dzieło, ucieleśniające myśl jednego artysty. Ze wszystkich sztuk pięknych architektura najbardziej przeradza się i traci znamiona indywidualizmu. Gdyby dziś wznoszono Akropol lub kościół św. Piotra, Fidyasz i Michał Anioł może za swe plany otrzymaliby pierwsze nagrody, ale projekty budowy ułożyłaby jakaś komisya. Nie wierzymy zgóry w żaden konkurs, w którym by jeden projekt, uznany za najlepszy, przyjęty został do wykonania. Nazwalibyśmy też wszelkie tego rodzaju turnieje chybionymi, a wydane w nich pieniądze straconymi, gdyby one nie dostarczały komisyom pomocnego a niezbędnego materyału i wskazówek do wypracowywania planów urzeczywistnianych. Grono sędziowskie kolei Wiedeńskiej samo nie zdobyłoby się na model dworca; ale mając prace pp. Goldberga, Hussa, Kozłowskiego i innych, wytworzy go łatwo. Kupiło ono sobie za kilka tysięcy rubli koncept do budowy, którego przedtem nie miało. Takie jest zwykle znaczenie konkursów architektonicznych i takie posiada ostatni. *W.*

### Ładne rzemiosło.

*Przegląd katolicki* uznał, że samo stróżowanie nad sprawami religii i obrona kościoła nie wyczerpują jego posłannictwa, które dopełniać winien udziałem w marnościach tego świata, zwanych geszeftami. W przystawce do swego przybytku założył on kramik, w którym dyskredytuje jedne pisma, a zachwala inne. Nie myślcie zaś, ażeby temi potępianemi były tylko: „masońskie,“ „bezbożne“ i tym podobne, którym z tą jego niechęcią jest bardzo lekko i przyjemnie; rzuca on się bowiem zajadle na takie, których prawowierności żaden *Index* zakwestyonować by nie mógł. Wiadomo np., jak gorliwym organem spraw watykańskich jest *Gazeta warszawska*, której korespondent, szambelan papieski, prześciga swą żarliwością najklerykalniejsze pisma. Mimo to, mimo że *Gazeta* ani jednem słowem nie obraża uczuć religijnych, *Przegląd* usiłuje ją wydrzeć z rąk księży i włożyć w nie o tyle niezręcznie, o tyle natarczywie inny dziennik. Czyni to zaś z pewną metodą, w której zapomina o ewangielicznych gołębiach, a pamięta tylko o wężach. Mianowicie — jak świeżo objaśnia *Gazeta* — „zawsze w epoce, kiedy się kwartał zaczyna, tj. wtedy, kiedy prenumeratorowie odnawiają przedpłatę, występuje on przeciwko *Gazecie warszawskiej*, imputując jej nieszczerość przekonań, insynuacye, których się nie dopuszczała, wreszcie brak taktu w stosunkach pieniężnych z prenumeratorami.“ Dodać trzeba, że zacny ten organ replik napadniętej nie pomieszcza, ani przekonany o fałszywości swoich oskarżeń sam ich nie odwołuje. Z objawów systematycznego dyskredytowania gazety, która raczej sympatyą organu katolickiego cieszyć się winna, z pozbawienia jej możności obrony w tych samych szpaltach, gdzie została obwiniona, przegląda tak jasno cel, leżący po za dziedziną spraw religijnych, że żadnej domyślności nie wymaga. Od pewnego czasu, skutkiem ogólnego zwężenia się kół prenumeratorów, a stąd i dochodów prasy, między dziennikami szlachecko-księżymi rozpoczęła się tajemna walka o abonentów. W walce tej strona zaczepiająca usiłuje bądź wyraźnie dowieść, bądź napomknieniem dać do zrozumienia, że przeciwna sprzedaje towar podejrzany, natomiast ona ma czysto szlachecki i czysto księży. Są to te same zapasy, które widzimy śród koniaków, papierosów, mydeł, środków od wilgoci itp. Otóż *Przegląd katolicki* zaciągnął się jako sojusznik przeciw *Gazecie warszawskiej* i pod płaszczem religii prowadzi najzwyklejszą wojnę krzyżacką. Dla charakterystyki tego rycerza dodać trzeba, że *Gazeta warszawska* jest najstarszem pismem peryodycznem, że na swym charakterze publicystycznym nie ma plam, że jest uczciwa i poważna, że wreszcie — o ile słyszeliśmy — utrzymuje się przy życiu wysiłkami swego wydawcy i z prenumeraty nie pokrywa swych kosztów. Jest kogo napadać i zniesławiać! *P.*

### Nazwy czworonogów.

*Przegląd katolicki*, który koniecznie chce wyspowiadać, rozgrzeszyć, namaścić i pogrzebać *Gazetę Warszawską*, ażeby *Słowo* nie czekało zbyt długo na spadek po staruszce, policzy zapewne swemu ulubieńcowi za najwyższą zasługę wystąpienie przeciw p. Grabowskiemu za bluźnierstwa popełniane w nazwach koni wyścigowych. Hodowca ten bowiem imiona bohaterów historycznych, jak Kordecki itp., posunął się jeszcze dalej i jedną klacz ochrzcił „Salve regina.“ Czyż on nie wie — woła *Słowo* — że od tych wyrazów zaczyna się jedna z pieśni religijnych, śpiewanych przez miliony, których uczucia tą swawolą są boleśnie dotknięte? P. Gr. zapewne o tem wie, ale gdzie dowód, że on chciał te uczucia obrazić i ową nazwę wziął z pieśni religijnej? Hymny pobożne zaczynają się od najrozmaitszych wyrazów, których używamy bez żadnych bluźnierczych zamiarów. Tak np. pozdrowiono raz p. Modrzejewską okrzykiem: „Witaj gwiazdo!“ — a przecie to jest również początek pieśni kościelnej. „Salve regina“ znamy tylko: „Witaj królowo,“ czem p. Gr. chciał może tylko wyrazić swój zachwyt dla klaczy. Gdyby on taką samą podejrzliwość zastosował do swych oskarżycieli, miałby wszelkie prawo zawołać: Czy *Słowo* nie wie, że ewangelia św. Jana zaczyna się od wyrazów: „Na początku było Słowo, a ono Słowo było u Boga, a Bogiem było ono Słowo“? Albo czy *Ziarno* (które radzi p. Gr. ubezwłasnowolnić i oddać pod kuratelę) nie wie, że w ewangeliach czytamy: „podobne jest królestwo niebieskie ziarnu“? Jest to więc podstawa śliska i dla opierania zarzutów niepewna.

Po za tą wszakże pretensyą godzimy się najzupełniej z protestem przeciwko używaniu imion i wyrazów czczonych do przezywania zwierząt, a nawet przed laty paru pierwsi na tę niewłaściwość zwróciliśmy uwagę. Pies — Hektor lub Bakon, krowa — Hipatya lub Beatrycza, klacz — Aspazya lub Salve regina, koń — Kordecki lub Staszyc — są to wszystko koncepty poprostu wstrętne. Język ma dosyć wyrazów na pomianowanie wszystkich czworonogich, nie potrzeba więc dla nich nadużywać imion ludzkich, powszechną czcią lub sławą otoczonych. Ale kto ten zwyczaj podtrzymuje? My sami naszą bezmyślnością. Hodowcy niepodobna się dziwić, że on rozmiłowywa się nadmiernie, fanatycznie w przedmiocie swych starań, doświadczeń i pracy, że dla niego koń pełnej krwi z nogami wiatru lub pies z czułym węchem jest czemś nadzwyczajnem, godnem ceny, szacunku i miłości. Po co wszakże my, wolni od tych uroków, roznamiętniamy się sztucznie? Dlaczego my konie zwycięzkie na wyścigach wysławiamy w obszernych artykułach, rysujemy w ilustracyach, malujemy na obrazach, obsypujemy całym słownikiem czułości i zachwytu? Czyż pod wpływem tych uwielbień hodowca nie może tak rozkochać się w swych koniach, że je ponazywa „Savanarolą,“ „Kołłątajem“ lub „Przedświtem?“ Nie siejcie głupstwa, nie będzie się rodzić. Nie mówcie i nie piszcie o koniach, jak o wielkich bohaterach historycznych, nie będą one nosiły imion sławnych. Jest to jedyny sposób uniknięcia widoku „Hetmana“ lub „Ojczyzny“ na czterech nogach. *P.*

### Koniec wieku.

Pewna francuska zapisała 100,000 fr. temu, kto wynajdzie sposób porozumiewania się z mieszkańcami Marsa. Na ten pomysł naprowadził ją Flamarion, który dojrzał, że marsowczycy dają nam wyraźne znaki i pragną zawiązać bliższe stosunki. Legat ten najzupełniej odpowiada stylowi *fin du siècle*, a zarazem sprowadza do absurdu dzisiejszy stan praw własnościowych. Bo zajrzyjmy nieco w przyszłość. „Ostatnia wola“ ofiarodawczyni musi być uszanowana, więc owe 100,000 fr. pozostaną nietknięte w depozycie i czekać będą na wynalazcę komunikacyi z Marsem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa potrwa to do skończenia świata; przez ten czas — jeżeli obecny stan ustroju ekonomicznego nie zmieni się — kapitał tak obrośnie procentami, że jego stróże muszą zagarnąć cały zasób złota na ziemi. Naturalnie w ciągu tych niezliczonych wieków przesuwać się będą miliony nędzarzów, daremnie błagających wsparcia. Ale ich jęki nie wzruszą zapisu, który gromadzić będzie skarby dla wynalazcy sposobu porozumiewania się z mieszkańcami Marsa i na wszystkie inne potrzeby ogłuchnie. Czy to nie pyszna satyra na teraźniejszość? Brak w niej jeszcze tylko zapisów na szpitale, przytułki i stypendya Marsa. Ale bądźmy cierpliwi — i to się pojawi. Wszakże mamy *fin du siècle!*

### Grupa naukowa.

Komitet zjazdu lekarzów i przyrodników w Krakowie rozesłał do pism odezwę, w której prosi uczestników i uczestniczki tego „meetingu,“ ażeby przywieźli z sobą najlepsze swoje a niedawne fotografie dla wykonania wspólnej grupy. Pomimo bowiem, że zamówiono „osobnego fotografa,“ istnieje obawa, że nie zdoła on zdjąć podobizn 800 — 1000 „osób interesowanych.“ Grupa ta ma na celu — mówi on — „pozostawienie następcom w pracy na tem samem polu trwałego śladu tej spójni, jaka nas łączy w stosunki towarzyskie, tem silniejsze, iż tej samej nauki ideały są nam wspólne.“ O czem też przyrodnicy i lekarze krakowscy mają czas myśleć! *Nota bene*, owa grupa, na której znajdą się niewątpliwie panie i panowie, niemający żadnej styczności z nauką, wcale przed potomnością o tem świadczyć nie będzie, do czego ją powołano. Dlaczego nie powiedzieć prościej, że przygotowujący ją fotograf potrzebuje zarobić...

---

## Z D A L A.

Szkolnictwo ludowe w Rosyi. — Popyt na zawodowość. — Wystawa środkowo-azyatycka.

Sprawa oświaty ludowej w Rosyi zyskała ważny akt prawodawczy w zatwierdzonej 16 maja uchwale Rady państwa, dotyczącej organizacyi t. zw. „szkół czytania i pisania“ (*gramotnosti*). To właśnie się państwa jest właściwie tylko uprawnieniem rzeczywistości — faktu dokonanego. Zanim przyszła kolej na ustawę dla szkół

tego typu, już samopomoc ludu je przedtem powołała do życia. Zaczęły one powstawać nielegalnie od r. 1885 i obecnie urosły do liczby 10,000. Zjawiły się w bardzo prosty sposób. „Jakiś wędrowny nauczyciel-dyletant, niemający prawa do nazwy nauczyciela — piszą *Birż. Wied.* — za 1—3 rs. miesięcznie, albo za 25—30 kop. od każdego ucznia, uczył dzieci włościańskie, niemające wstępu do szkół rządowych. Z chwilą wydania przepisów z roku 1874 (?) zamykano je i prześladowano pedagogów niepowołanych, ale rok 1872 (?) przyniósł zmianę radykalną. Ówczesny minister oświaty, baron Nicolai, pozwalał na naukę czytania i pisania, bez względu na to, czy dana jednostka miała świadectwo nauczycielskie." Było to milczące uznanie zjawiska, będącego naturalnym wynikiem stanu szkolnictwa ludowego w państwie. Istniało niespełna 2½ tysiąca t. zw. ludowych szkół „ministeryalnych" jedno i dwuklasowych, 22 tysiące szkółek ziemstw i 9 tysięcy cerkiewno-parafialnych. Ministeryalne były za drogie dla większości, tak samo i cerkiewno-parafialne, kosztujące od 100—200 rs. rocznie, tj. sumy przewyższające możność wsi i osad. Chłop więc stworzył sobie własne szkoły, które teraz na mocy wydanej ustawy przejdą pod bezwzględny dozor duchownych. Nauczycielami w nich będą wychowańcy szkółek cerkiewno-parafialnych, program zaś polegać ma na wykładzie religii, śpiewów cerkiewnych, czytania po rusku, pisania, początków rachunku i języka cerkiewno słowiańskiego.

Innego rodzaju jest zapotrzebowanie szkół fachowych — idzie ono w parze z rozwojem przemysłu i handlu ruskiego. Najusilniej domaga się ich wielka wymiana i wielka produkcya. Ministeryum oświaty jest oblężone prośbami o zakładanie tych „ujeżdżalni" sił roboczych. Najgoręcej ich pragną gubernie południowe, bo też nie brak im do tego podniety. „W obecnej chwili — powiada *Dień* — w Nowej Rosyi powstają najróżnorodniejsze gałęzie dobywanego i przetwórczego przemysłu. Żyzna gleba, łagodny klimat, obfitość bogactw mineralnych i bliskość morza składają się na przyjazne warunki dla ich rozwoju. Ma się rozumieć, że wraz z takim postępem przemysłu wzrasta i popyt na ludzi z wykształceniem technicznem. Na brak ich skarżą się teraz prawie wszystkie „zjazdy" i „towarzystwa." Gospodarze wiejscy, węglowcy, winiarze, młynarze, właściciele statków, dotykając swoich „potrzeb," przedewszystkiem dowodzą niezbędności szkół zawodowych."

Ręka w rękę z wielkim przemysłem idzie wielki handel i w jeden głos z nim modli się o wykształconych w sztuce kupieckiej agentów i subjektów, tak samo, jak kto inny o zręcznych techników, sztygarów itp. Najwymowniej potrzeby handlu ruskiego w tej mierze maluje gazeta *Birż. Wied.*: „W chwili, gdy Rosya dąży do wystąpienia w roli współzawodniczki na rynkach wschodnich, stworzenie uzdolnionych handlowców staje się niezbędnem. Żeby ona mogła walczyć z anglikami i niemcami na rynkach wschodnich, koniecznie musi mieć ludzi, którzyby znali warunki zbytu, smak i potrzeby ludności, której ma być zalecany nasz towar; bez tego zaś wszyscy nasi przemysłowcy, wywożący swoje towary na rynki wschodnie, ponieść mogą zupełne „fiasco," jak to już miało miejsce kilkakrotnie." Nic słuszniejszego i bardziej złowrogiego, niż to spostrzeżenie. Rynek, tem bardziej zaś obcy, jest zdradzieckiem trzęsawiskiem, które trzeba wprzód dobrze poznać, żeby módz po niem niezawodnie pewną nogą stąpać i nie zapaść się wraz z plonami niesionymi — żeby módz umiejętnie wyzyskać. Odkąd Rosya biegiem życia ekonomicznego pchnięta została w wir wymiany wszechświatowej, niebezpieczne, zdradliwe nurty tej ostatniej muszą być starannie badane, żeby były potem pomyślnie kierowane gwoli celom przedsiębiorczości. Miejsce dawnej drobnokupieckiej techniki wymiennej zastąpić musi wielkokupiecka, przez wielki wszechświatowy handel stworzona — stare metody i stare księgi liliputiego frymarku zastąpione przez nowe, które złożyły się już gdzieindziej na bogatą specyalną wiedzę, kwalifikującą się tam oddawna do wykładów akademickich. Labirynt rozwiniętych stosunków rzeczowych znalazł odzwierciedlenie w teoryi, która z kolei stała się przewodnią nicią Aryadny. Nadszedł czas, gdy kupiec ruski zapatrzyć się musi na wzory anglików, francuzów i niemców. Dla tego też *Birżewyja Wiedomosti* są w zupełnej zgodzie z potrzebami chwili, wystawiając odpowiednie żądania. Polegają one na założeniu w Petersburgu „wyższej akademii handlowej" z katedrą języków wschodnich; wychowańcom jej, w braku tej katedry, byłoby przyznane prawo wstępowania na wydział wschodni uniwersytetu petersburskiego lub też na kursy języków wschodnich, istniejące przy „azyatyckim departamencie" ministeryum spraw wewnętrznych. Lepsi uczniowie dostawaliby stypendya, z warunkiem odsłużenia go w charakterze pomocników konsulów Wschodu. Oni by też mogli z czasem wyrobić się na bardzo pożytecznych działaczów w zakresie popierania interesów ruskich w Azyi. Nadto, przy rewizyi ustawy konsularnej należy pamiętać, że najstosowniejszymi i najpożyteczniejszymi dla kraju konsulami mogą być tylko ludzie świadomi techniki handlowej, czego dowiodło doświadczenie państw zachodnio-europejskich.

Istotnie przezorność ta nie grzeszy wcale przesadą, gdy uprzytomnimy sobie obecne dążności ruskiego życia ekonomicznego i tę ponętę Wschodu, jaką przed zdumionemi oczyma kupiectwa rostacza wystawa środkowo-azyatycka w Moskwie. Szpalty dzienników ruskich rozsadzają opisy tej petroczizny i tego bogactwa towarów produkcyi kirgizów, bucharów, sartów i tekińców. Pominiemy zachwyty nad wzorzystością fantastyczną dywanów i tkanin azyatyckich, zatrzymamy zaś uwagę nad okazami świadczącymi o bogactwach przyrodzonych Azyi środkowej i stanie tubylczej techniki wytwórczej. Są to dwa najpotężniejsze bodźce kapitału wschodnio-europejskiego. Bogactwa przyrodzone są wielkie i tkwią we właściwościach ziemi oraz klimatu, który sprzyja jedwabnictwu, hodowli bawełny i uposaża człowieka w mnóstwo traw pastewnych, dających się kilkakrotnie rocznie sprzątać i w najprzeróżniejsze rośliny oleodajne. Technika wytwórcza — pierwotna. Na tę ostatnią okoliczność „badacze" rynków wschodnich z pewnością nie omieszkają zwrócić szczególnej uwagi. „Żelazne wyroby (środkowego azyaty) — powiada jeden z reporterów — noże, topory, rydle, łopaty — zdają się być wydobyte z wykopalisk, tak są proste, pierwotne. Narzędzia stolarza także nie odznaczają się podobieństwem do tego, czem rozporządzają nawet nasze najpośledniejsze warsztaty stolarskie, ale temi niepokaźnemi narzędziami posługiwać się umieją tubylcy niegorzej, niżeli chłop ruski toporem, którym on wiekowe dęby ścina i we wdzięczne rzeźby stroi okapy dachów. Podobnie też i cierpliwy sart niekiedy robi swojemi pierwotnemi narzędziami bardzo ładniutkie, starannie wykonane cacka." Głęboko powinna zapaść w pamięć kapitalisty ruskiego ta cenna wskazówka wystawy o poziomie kultury sarta. Jest to drogowskaz przyszłej wędrówki owoców wstrzemięźliwości mistycznej środków wytwórczych, którymi on włada. Sart ze swojej strony może pozna niebawem dobroczynne skutki zetknięcia się jego przedpotopowej techniki wytwórczej z wyższą, znaną europejskiemu przemysłowi... W kalejdoskopie witryn wystawy pożądliwe oko przedstawicieli tego ostatniego śledzi też uważnie w deseniach i barwach smak spożywców środkowo-azyatyckich i notuje skwapliwie. Sart, który tem się pyszni, ani przypuszcza, co z tej jego usługi wyniknie. „Wszystkie te wzory — powiada reporter — powinny być wskazówką dla naszych fabrykantów i rzemieślników, co, mianowicie, jakiej dobroci, rysunku i barwy im należy przygotowywać towary dla rynków środkowo-azyatyckich. Dla fabrykantów perkali są bardzo pouczające próbki perkalów angielskich, zbywanych na rynkach bucharskich; dla tapetników, rysowników i dekoratorów pokojowych — wzory meczetowego i pokojowego malarstwa również jak i okazy alabastrowych krat do okien. Te właśnie rysunki, desenie i barwy winni odtwarzać ruscy przemysłowcy, jeżeli chcą mieć na rynkach środkowo-azyatyckich powodzenie; inny ch buchar, kirgiz, tekińczyk — nie uzna je i nie przyjmie, chociażby to były rysunki w stylu odrodzenia Ludwika XVI-go lub Henryka IV." I trzeba przyznać, że ze wszystkich zadań, to, które tak pięknie i pojętnie oświadamia, komu o tem wiedzieć należy, reporter — jest najistotniejsze. Z wystawy odbiera kupiec i przemysłowiec ogólne wrażenie takie o Azyi środkowej, że „jest to kraj bogato uposażony przez naturę, ale oczekujący organizacyi i ładu." Jeżeli kapitał ruski, o czem wątpić trudno, wykaże dojrzałość na polu przedsiębiorczości, to sart i tekińczyk ani się domyślają, ile dobrodziejstw wniesie w ich ciche pierwotne siedziby ta nieznana im jeszcze nowa siła cywilizacyjna...

*Z. Atanazy.*

---

# KRONIKA.

**Sprawy społeczne.** Za przykładem niektórych zarządów policyjnych w miastach większych, mają być przedsięwzięte energiczne środki ukrócenia lichwy. Za najskuteczniejszy uznano wydalenie lichwiarzy z miejscowości, w których szerzą swoją praktykę.

— Warszawska Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła zapis zmarłego hr. Kajetana Uruskiego: 1000 rs. na szpital dziecinny, tyleż na dom schronienia starców Opieki N. Maryi Panny rs. 500 na rzecz Towarz. pań miłosierdzia św. Wincentego à Paulo i rs. 300 na rzecz biura nędzy wyjątkowej.

— *Now. Wr.* donosi iż w guberniach południowo-zachodnich jest obecnie wiele majątków do sprzedania. Właścicielami ich są przeważnie poddani niemieccy.

— Grupa kapitalistów francuskich, według doniesień prasy ruskiej, stara się o uzyskanie pozwolenia na otworzenie w większych miastach kas zaliczkowych na zastaw ruchomości drobnych.

— Komitet ministrów postanowił natychmiast przedsięwziąć wszelkie środki, mające na celu zabezpieczenie przeżywienia ludu, ku czemu właściwe instytucye rządowe mogą czerpać z istniejącego obecnie kapitału żywnościowego. Minister skarbu ma upoważnienie do wydawania sum nadzwyczajnych. Ziemstwa i inne instytucye obowiązane są zająć się natychmiast nabyciem koniecznych zapasów zboża dla podziału śród ludności potrzebującej. Zapasy zboża mają być porobione i dla tych, którzy nie będą mogli wyżywić się zbożem zbioru tegorocznego. Ministeryum spraw wewnętrznych ustanawia specyalną komisyę do opracowania sprawy utrzymania w ciągłym porządku magazynów ze zbożem zapasowem i wykazania stałej w nich ilości zboża. W tym samym celu departament spraw kolejowych opracował i wprowadził w życie zniżenie o 80% taryfy na przewóz zboża do miejscowości, w których plony nie wystarczają na zaspokojenie potrzeb ludu. Nadto, według *Now. Wr.*, liczne ziemstwa guberolj dotkniętych nieurodzajem czynią starania o otworzenie kredytu włościanom dla spłaty podatków.

— Gubernialnym komitetom statystycznym polecono zgromadzić dokładne dane o liczbie instytucyj dobroczynnych w obrębie danych gubernij.

— Ministeryum spraw wewnętrznych opracowało przepisy, podwyższające odpowiedzialność za spasanie łąk i pól.

— W Kolonii na międzynarodowym wiecu robotników górniczych (niemieckich, austryackich, angielskich,

belgijskich i francuskich) postanowiono założyć międzynarodowy związek górniczy.

— Rada państwa zatwierdziła utworzenie pięciu posad młodszych inspektorów fabrycznych w gub. Piotrkowskiej.

— Opracowywana jest dla Cesarstwa nowa ustawa o opiece nad niepełnoletnimi. Pomiędzy innemi ma być wprowadzona instytucya rad familijnych.

— W Warszawie otwarto pierwszy kantor mamek pod kierunkiem lekarza i nadzorem rady miejskiej dobroczynności publicznej.

— W Szpandawie oddalają bezustannie robotników, zajętych w rządowej fabryce broni. W oddziale wyrobu karabinów pozostanie ich tylko 400. W oddziale amunicyi, w warsztatach artyleryi, lejarni dział i oddziale wyrobu prochu pozostanie stały etat, obejmujący 10,000 ludzi, w tej liczbie 2,500 robotnic.

**Szkoły.** Pisma ruskie donoszą o projekcie zreformowania kursów akuszeryi i powiększenia zakresu wiadomości lekarskich, wymaganych od osób, które zamierzają pozyskać świadectwo akuszerki.

— Główne Towarzystwo kolei ruskich otworzy w sierpniu kilka szkół elementarnych dla dzieci swych oficyalistów na liniach: Mikołajewskiej, Petersbursko-Warszawskiej i Niższonowgorodzkiej.

— *Grażdanin* donosi, że instytut inspektorów agronomicznych będzie wprowadzony w całem państwie; ci zaś mianowani będą z pośród wychowańców wyższych szkół rolniczych.

— W tych dniach ministeryum dobr państwa wydało pozwolenie na otwarcie nowych sześciu szkół niższych rolniczych. Następnie projektowane jest jeszcze otwarcie siedmiu.

— Według postanowienia kuratora warszawskiego okręgu naukowego, naczelnicy dyrekcyi oraz inspektor szkół m. Warszawy obowiązani są na wydawanych świadectwach z ukończenia dwuklasowych szkół miejskich i wiejskich czynić wzmiankę, że uczniowie ci mają prawo wstąpić do szkół technicznych kolejowych w Królestwie Polskiem, z warunkiem powtórnego złożenia egzaminu z języka ruskiego i matematyki w zakresie powyższych szkół dwuklasowych, wiejskich i miejskich.

— W sprawie przywrócenia kursów lekarskich dla kobiet grupa profesorów uniwersytetu moskiewskiego i przedstawiciel ministeryum oświaty opracowała projekt odpowiedni. Zajęcia na kursach trwać będą cztery lata, nadto dwa lata przeznaczono na zajęcia praktyczne w szpitalach. Kandydatkami mogą być kobiety, które złożyły egzamin dojrzałości w gimnazyum klasycznym.

— Doręczono wydziałom lekarskim wszystkich uniwersytetów i Akademii wojennej medycznej opracowany przez ministeryum oświaty projekt nowych przepisów egzaminów na stopień doktora medycyny.

— O szkołach dentystycznych ogłoszono nowe szczegóły. Przy szkole powinny się znajdować: laboratoryum dentystyczne, sala do przyjmowania chorych z foteiami operacyjnemi po jednym na każdych 4-ch uczniów klas wyższych, audytoryum i sala do usypiania środkami narkotycznymi. W szkole powinno się odbywać przyjmowanie chorych przynajmniej 6 godzin dziennie, oprócz czasu wakacyjnego. Opłatę od przychodzących oznacza rada pedagogiczna i zatwierdza inspektor lekarski. Dochody szkoły stanowią własność organizatora.

**Konkursy.** Minister oświaty ogłasza konkurs na napisanie w języku wykładowym następujących podręczników dla szkół przemysłowych. 1) Mechanika, budowa machin, technologia drzewa, technologia metalów; 2) chemia, produkcya chemiczna; 3) matematyka, fizyka, elektrotechnika, meteorologia; 4) budownictwo; 5) technologia rolnicza i rachunkowość wiejska; 6) górnictwo i metalurgia; 7) historya naturalna, niwelowanie i zdejmowanie planów, geografia handlowa ekonomia polityczna, buchhalterya, prowadzenie korespondencyi, prawodawstwo handlowe. Nagrody będą przyznawane podręcznikom drukowanym i w rękopisie. Dziełka powinny być złożone do 25 grudnia st. st.

**Przemysł i handel.** Ministeryum skarbu opracowywa projekt utworzenia w Cesarstwie komisyi obrachunkowej na wzór zachodnio-europejski dla ułatwienia obrachunków handlowych i bankowych. W komisyi będą się odbywały rozmaite operacye przez osoby upełnomocnione od banków, przedstawiających do likwidacyi swoje rachunki, weksle, dokumenty, terminowe zobowiązania itd.

— *Praw. Wiest.* ogłasza: P. minister finansów ma prawo: 1) zezwalać czasowo do 13 lipca 1894 r. na wyrób współcześnie z pędzeniem okowity, drożdży prasowanych według nowych dotąd niepraktykowanych w obrębie państwa sposobów, bez zastosowania przepisów co do normy wydajności spirytusu, z warunkiem iżby od niego opłacaną była akcya. 2) Ustanawiać w ciągu wymienionego powyżej okresu zawartość naczyń, tudzież normę wydajności drożdży, przy zastosowaniu nowych sposobów produkcyi.

— Wyższej władzy złożono projekt Banku warszawskiego dla cukrowników. Wydawać on będzie zaliczenia na cukier, przechowywany w jego składach i przeznaczony na wywóz za granicę.

— Rolnicy z prowincyj południowo-zachodnich zwrócili się do Petersburga z prośbą o zatwierdzenie utworzonego przez nich syndykatu. Celem stowarzyszenia jest udzielanie rolnikom zaliczek na zboże i uwolnienie ich tym sposobem od strat, wynikających ze sprzedaży przedterminowej.

**Wystawy.** Oddział petersburskiego Towarzystwa technicznego w Moskwie zamierza w jesieni urządzić wystawę budynków ogniotrwałych, ze szczególnem uwzględnieniem zabudowań wiejskich. Komitet zwraca się do wszystkich o współdziałanie, zaznaczając w odezwie, iż rocznie w obrębie państwa ludność wiejska traci około 100 milionów rubli podczas pożarów letnich, skutkiem wadliwej budowy domów.

— Szkoła im. Konarskiego w Warszawie otworzyła wystawę prac uczniów swoich.

**Rolnictwo.** Ministeryum dóbr państwa wkrótce wprowadzi w wykonanie projekt zakładania obór zarodowych, w celu poprawienia rasy bydła włościańskiego. Na początek obór takich będzie sześć (jedna w Królestwie), każda z nich hodować będzie rasę bydła, odpowiednią do warunków klimatycznych kraju. Z obór tych od 13 marca do 13 sierpnia wydzierżawiane będą na żądanie gromadom i gminom buhaje; po latach pięciu zostaną one sprzedane na miejscu przez licytacyę.

— Grupy asekuracyjne rolników uzyskały w Towarzystwie Warszawskiem i „Jakor" znaczne ustępstwa. W ciągu ostatnich lat kilku liczne pogorzele wyrządziły tym towarzystwom znaczne straty. W obec tego w „Jakorze" powstał zamiar skasowania ubezpieczeń rolnych. Członkowie grup, nie chcąc do tego dopuścić, postanowili powiększyć ryzyko własne.

**Dyrektor opery** warszawskiej, p. J. Rzebiczek, „wyraziwszy najgłębszą wdzięczność całej prasie tutejszej i publiczności za łaskawe uznanie i poparcie," wyjechał do Pesztu, gdzie zajął takież stanowisko. Nastąpi po nim kapelmistrz włoski Bevignani.

**Bibliografia.** Dr. A. Skórski, *Jan Śniadecki* wobec współczesnej metafizyki niemieckiej i dzisiejszych dążeń filozoficznych, str. 302, Lwów.

— M. R. Witanowski, *Historya miast i mieszczan* w kraju dawnego państwa polskiego od czasów najdawniejszych aż do połowy XIX w.; z materyałów p. W. A. Maciejowskim zebrał.., str. 279, Poznań.

— E. Orzeszkowa, *Romanowa* (przeróbka z powieści — Tanie wydawnictwo), str. 86, Warszawa.

— H. W. i M. B. *Pogadanki o niebie i ziemi* (Tanie wydawnictwo) str. 86, Warszawa.

— Sz. Gryff, *Uprawa pszenicy* na gruntach gliniastych wilgotnych (Tanie wyd.) str. 25, Warszawa.

— I. T. Hodi, *Pan głuchy Gaweł*, powieść, str. 188, Petersburg.

— Simara, *Nowele*, str. 105, Warszawa.

— K. Junosza. *Wybór pism*, tom II, str. 309, Warszawa. Nakład autora.

— K. Kautsky, *Narodowość i jej początki*, str. 52, Warszawa.

**Zmarli.** Włodzimierz ks. Dołgorukow, b. generał-gubernator moskiewski.

---

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Panu A. W. w Wiesbadenie.* Tłomaczył „Anhellego," „Ojca zadżumionych" itd. Dla otrzymania szczegółowego spisu niech Pan zwróci się do niego samego. Co do „Pana Tadeusza" — przełożony.

**Sprostowanie.** W odpowiedziach poprzedniego numeru czytać należy: *Pani Gabryeli Un.*



Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 5 Іюля 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.